Powrót Hemara



Marian Hemar, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Gdyby pokusić się o napisanie historii życia kulturalnego polskiego Londynu na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku, jedną z pierwszorzędnych postaci byłby niewątpliwie Marian Hemar. Dziś jest on sylwetką

z przeszłości, historią, artystą znanym ze słyszenia wśród najstarszych emigrantów.

Pamiętam go z przedstawień w klubie "Orzeł Biały" na londyńskim Knightsbridge. Kiedy pożar zniszczył ten klub, Hemar kontynuował występy na South Kensington w "Ognisku Polskim". W połączonych salonach stylowej kamienicy na pierwszym piętrze odbywały się teatralne spektakle, literackie spotkania i akademie.

W 1946 roku, jeszcze w mundurze starszego strzelca broni pancernej, pojechałem z obozu w Szkocji na urlop do Londynu. W kinach grano film "The Outlaw" z atrakcyjną Jane Russell. Zobaczywszy głośny western, zwiedziłem British Museum, zobaczyłem kolekcję marmurów i mumii, zajrzałem po raz pierwszy do czytelni biblioteki pod szklaną kopułą. Tam poznałem dr Jerzego Pietrkiewicza, który zaprosił mnie na kawę i przeczytał kilka przekładów poetów angielskich, których antologię przygotowywał.

Wieczorem przedstawiono mnie Marianowi Hemarowi. Ku mojemu zdumieniu, znał i cenił on Wergiliusza, a nawet trzymał na nocnym stoliku jego "Bucolicon", a ja także w onym czasie tłumaczyłem sielanki Rzymianina.

Kiedy po ukończonych w Irlandii studiach znalazłem się

ponownie w Londynie, miałem wiele okazji, by oglądać programy Hemara w “Orle Białym” a później w “Ognisku Polskim”. Nie doceniałem wówczas właściwie wielkiego wysiłku ludzi teatru, a wśród nich Hemara, którzy w ciężkich czasach krzepili rodaków w ogólnym przygnębieniu i poczuciu klęski. Ich akcje wymagały wielkiego hartu ducha i samozaparcia.

Z czasem musiałem Londyn opuścić i przeniosłem się do Nottingham, tam wykładałem literaturę hiszpańską. Następnie popłynąłem do Kanady, gdzie miałem osiąść na stałe. W roku 1991 przeszedłszy na emeryturę, zacząłem latać do Polski. Do dziś tych pedagogicznych wizyt było 16. Starałem się na uniwersytetach polskich pomagać w kształceniu iberystów.

We Wrocławiu pracowałem przez sześć lat w semestrach letnich. Trafiłem do miasta przypadkiem, kiedy po zjeździe pisarzy w Warszawie wybrałem się tam z Tadeuszem Nowakowskim z Wolnej Europy. Mój towarzysz słynął z dowcipu i złośliwych komentarzy. I tak, kiedy jego kolega w pracy, Wiktor Trościanko, wydał tomik wierszy pod tytułem „Przeciwko wiatrom”, ponoć Nowakowski dopisał na ogłoszeniu w Monachium „Do nabycia w każdej aptece”.

W czasie moich zajęć w Instytucie Filologii Romańskiej we Wrocławiu miałem okazje chodzić na doroczne przeglądy piosenki aktorskiej. Poznański Teatr Nowy przywiózł pewnego

razu adaptację komedii Mariana Hemara „Piękna Lucynda”. Sztuki tej w Londynie nie oglądałem. Byłem kompletnie urzeczony jej znakomitością. Do sufitu szybowały na trapezach Muzy, pięknie śpiewali i grali aktorzy. Klasą samą dla siebie była Krystyna Feldman, w roli Wawrzonka o niewyparzonym języku.

Kiedy kurtyna opadła, z budki suflera widownia dowiedziała się, że komedia Hemara była oparta na sztuce Józefa Bielawskiego z roku 1765, zamówionej przez króla Stanisława Augusta, wielkiego Księcia Litwy, Kijowa i tak dalej.



Włada Majewska i Marian Hemar w studio Radia Wolna Europa,

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Takim sentymentalnym akcentem poczęstował audytorium rosyjski dyrektor Eugeniusz Korin. To za jego sprawą Hemar przemówił we Wrocławiu wspaniałą teatralną robotą i tekstem oracji wygłoszonej przed laty na premierze londyńskiej, a wydrukowanym ze smakiem w programie wraz z fotografią Napisałem o tym wydarzeniu do Londynu do byłej redaktorki „Wiadomości" Stefanii Kossowskiej, kierującej „Środą Literacką", comiesięcznym dodatkiem kulturalnym „Dziennika Polskiego". Szkic przyjęła z entuzjazmem informując w liście:

> Archiwum Hemara pieczołowicie zbierała Włada Majewska, bo on sam tego nie pilnował, a jego amerykańsko-duńska żona dawała materiały każdemu, kto chciał albo wyrzucała jeśli Włady nie było w pobliżu. Archiwum jest ogromne: rękopisy, fotografie, nagrania itd. Wszystkie prawa autorskie należą do Włady. Niemal,wszystko, co ukazuje się na emigracji i w Polsce (poza piractwem) jest przez nią opracowane i z nią uzgodnione. Nie wiem, co zrobi z tym archiwum.

W kanadyjskiej Mississaudze dzięki Polsko-Kanadyjskiemu

Towarzystwu Muzycznemu i Salonowi Muzyki i Poezji zobaczyliśmy spektakl teatralno-muzyczny „Hemarowe miłości”, teksty i piosenki. Włodarzom PRL dawał się ten literat kiedyś we znaki satyrycznymi komentarzami. Słynny stał się wierszyk komentujący zdjęcie inscenizacji Dejmka:

> Potem mówił p. Gomułka
>
> Do zaufanego kółka:
>
> Ten Mickiewicz…wieszcz narodu…
>
> Dużo zrobił nam zawodu
>
> Że on umarł ja nie wiedział
>
> Gdyby żył to jużby siedział
>
> Nie ma wyjścia nie ma rady
>
> Skonfiskować całe „Dziady”

Powrót na polskie estrady i to pod egidą polskiego konsulatu, Mariana Hemara, ten Odys wrócony Itace, uznałby za wielki kaprys losu, niewiarygodny, ale sprawiedliwy i zasłużony.

Wróciły jego zabawne skecze i popularne piosenki. Przypomnienie w setną rocznicę urodzin Hemara było pięknym gestem autorki scenariusza i reżyserki programu Marii Nowotarskiej. Bywalcom i nowym wielbicielom talentu Hemara sprawiła wielką przyjemność.

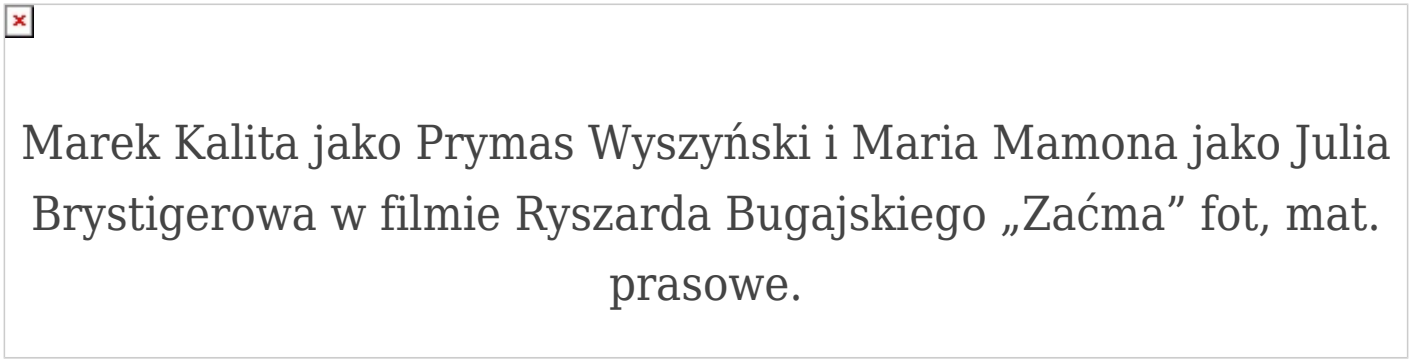
Nie sposób było zaprezentować całą bogatą spuściznę tak płodnego artysty w jeden wieczór. Poznaliśmy więc Hemara jako znanego tekściarza, autora pamiętnych słów do światowych przebojów. Ufamy, że w przyszłości poznamy także jego inne wybitne osiągnięcia.

Na temat Salonu Poezji, Muzyki i teatru z Toronto oraz pięknym wieczorze poświęconym Marianowi Hemarowi można przeczytać w książce Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”.

Do kupienia m.in. w księgarni internetowej Gandalf:

http://www.gandalf.com.pl/os/sokolowska-gwizdka-joanna/

„Zaćma” Ryszarda Bugajskiego: Pytania o naturę zła.



Marek Kalita jako Prymas Wyszyński i Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma” fot, mat. prasowe.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Ryszard Bugajski zrobił wspaniały, niezwykle dojrzały film, w którym stawia pytania o to, kiedy w człowieku rodzi się zło, wielkie zło. To są również pytania o to, czy możliwe jest przebaczenie.

Ryszard Bugajski kojarzony jest przede wszystkim z filmem

”Przesłuchanie”, który powstał w 1981 roku, ale swoją oficjalną premierę miał dopiero z końcem 1989 roku. Stał się też przyczyną szykan, które sprawiły, że reżyser wyemigrował do Kanady i powrócił do Polski dopiero w 1995 roku. Do tematyki czasów stalinowskich powrócił jeszcze filmem „Generał Nil” (poświęconym sylwetce niezłomnego generała Augusta Emila Fieldorfa – Nila), a także spektaklem telewizyjnym „Śmierć rotmistrza Pileckiego”. Wszystkie trzy ukazywały okrucieństwo opresyjnego systemu komunistycznego, niejako z punktu widzenia ofiar.

Najnowszy film Bugajskiego rozgrywa się po 1956 roku, a jego bohaterką jest tym razem kat, a nie ofiara. Jest nią Julia Brystigerowa, zwana krwawą Luną. Trzeba jednak podkreślić, że jest to film, który świadomie dystansuje się od ukazywania okrucieństw tzw. systemu. Bohaterka, która jest jego kwintesencją staje się właściwie pretekstem do stawiania pytań o naturę zła.

Moralna ślepota

Akcja większości scen rozgrywa się w ośrodku dla niewidomych w Górkach, które muszą się widzowi kojarzyć z Laskami, ale są zarazem pewną metaforą, na której zbudowany jest cały film: metaforą moralnej ślepoty. Bohaterka przybywa do ośrodka, aby spotkać się z Prymasem Wyszyńskim, którego niegdyś – jako

dyrektorka departamentu V Urzędu Bezpieczeństwa – więziła i represjonowała. Ma nadzieję, że ten niezłomny człowiek, któremu wiara pozwoliła wytrwać, znajdzie dla niej radę, jak ma dalej żyć. Dodajmy, że w tym czasie Brystigerowa nie pracuje już w departamencie, skąd usunięto ją po tzw. odwilży, ze względu na złą sławę, której zawdzięczała przydomek krwawej Luny. W tym czasie jest już redaktorką PIW-u i żyje w luksusowych, szczególnie jak na tamte czasy, warunkach. W pierwszej scenie widzimy jej piękne, urządzone antykami mieszkanie, z obrazami znanych mistrzów. Jeden z nich – pędzla Picassa – przedstawia prawdopodobnie ją samą, gdyż podobno była w czasach paryskich jego modelką. Ubrana niezwykle elegancko: w kostium Chanel i piękną białą, jedwabną bluzkę, pachnąca drogimi perfumami, paląca dobre zagraniczne papierosy, nie sprawia jednak wrażenia szczęśliwej i zadowolonej z życia. Głuche telefony, neurotyczne zachowanie, problemy ze snem – składają się na obraz kobiety pogrążonej w głębokim kryzysie. Pragnie spotkania z Prymasem, bo żywi niczym nie uzasadnioną nadzieję, że znajdzie on sposób, aby ją z tego kryzysu wydostać. Audiencję u ks. Wyszyńskiego uzyskać niełatwo, szczególnie, jeśli jest się krwawą Luną, ale i na to są sposoby: fałszywe nazwisko i życzliwa siostra przełożona, która – jak się później okaże – jest jej dobrą znajomą z czasów młodości.

Do spotkania z Prymasem długo nie dochodzi, za to scena ta staje się punktem kulminacyjnym filmu. Księdzem, który

pośredniczy w tym spotkaniu, jest zagrany znakomicie przez Janusza Gajosa – mistrza epizodu – skromny, ociemniały ksiądz Cieciorka. To w jego usta włoży reżyser i scenarzysta w jednej osobie słowa, które i nam towarzyszą podczas oglądania filmu: jak to jest możliwe, aby światła kobieta, wykształcona i z dobrej rodziny, w dodatku matka, była bardziej okrutna od niejednego sadystycznego ubeka? Ale na to pytanie nie znajdzie odpowiedzi, a już na pewno nie od Julii. Są to jednak pytania, które bohaterka musi sobie sama postawić, aby pojąć, jak do tego doszło. Bugajski wplata w filmową narrację nieliczne sceny retrospektywne, ale przede wszystkim przemiana Julii ukazana jest za pomocą metafizycznych obrazów. Zaczyna się to od więziennego korytarza, kiedy jeden z więźniów przedstawia się jako Chrystus i potem wielokrotnie będzie się pojawiał w jej snach? wizjach? To wszystko nie jest jednoznaczne, ale symbolizuje niewątpliwie wymiar metafizyczny jej rozterek i cierpienia.



Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma”, fot, mat. prasowe.

Pytania o źródło zła i możliwość przebaczenia

Trzeba przyznać, że Bugajski pokazał z jednej strony, że sama bohaterka (czytaj: każdy człowiek) nie rozumie, skąd się w niej wzięło aż takie zło i nigdy nie uda się jej tego zracjonalizować, choć mówi o braku Boga, o uwiedzeniu komunistyczną ideologią. Ale jak wytłumaczyć, że dostaje furii, gdy jej mały synek zwraca przy stole albo z kamienną twarzą odjeżdża, mimo jego żałosnych nawoływań… Jest w tym filmie scena, w której bohaterka ”spotyka” na łące samą siebie – jako 9-letnią dziewczynkę i myśli,

że wtedy jeszcze nie była zła, że to przyszło później, ale dlaczego – na to pytanie nie znajduje odpowiedzi. Wyjaśnienie wszystkiego wiarą lub niewiarą także nic nie daje, skoro siostra Benedykta w pewnym momencie zdradza Julii, że ”Bóg jest dla niej tylko metaforą”, a mimo to zło jej nie dotknęło i ofiarowała się ociemniałym dzieciom. To ona, a nie Prymas, ze łzami i z miłością przytula na końcu bohaterkę, dając jej przebaczenie i nadzieję.

Kulminacyjna scena rozmowy z Prymasem Wyszyńskim ukazuje przede wszystkim dystans i niemoc wobec problemu, jakim jest Julia (czytaj: zło). Tutaj ksiądz sam przyznaje, że czuje się głupi i bezradny. Wobec klęczącej i szlochającej kobiety zdobywa się na gest błogosławieństwa. Tylko tyle i aż tyle.

Ryszard Bugajski zrobił wspaniały, niezwykle dojrzały film, w którym – jak jeden z jego bohaterów – stawia pytania o to, skąd bierze się zło – aż takie zło? Dlaczego ludzie wyrządzają sobie taką straszną krzywdę? To są również pytania o to, czy możliwe jest przebaczenie. Chrystus wprawdzie wybacza bohaterce, ale czy wybaczą jej ofiary i czy ona sama sobie potrafi wybaczyć? Tu nie ma łatwych odpowiedzi. Tytułowa ”zaćma” zdaje się być jakąś jej metaforą. Bohaterka ciągle zakrapia oczy, cierpi bowiem na kataraktę, ale wiadomo, że ta nieumiejętność rozpoznawania dobra i zła jest jej głównym problemem.



Maria Mamona jako Julia Brystigerowa w filmie Ryszarda Bugajskiego „Zaćma”, fot, mat. prasowe.

Choć wobec tak doniosłej tematyki sprawa formy wydaje się być drugorzędną, nie sposób jednak pominąć głównej roli, która niejako dźwiga całą tę złożoną problematykę. Postać Julii Brystigerowej, zagrana została przez Marię Mamonę znakomicie i niezwykle wiarygodnie. Na początku bohaterka jest sztywna, pewna siebie i przekonania, że wszystko może (kiedy np. zastrasza dozorcę, o którego współpracy z SB doskonale wie). Proces rozwoju postaci następuje z jednej strony w toku wydarzeń, z drugiej zaś – i to jest chyba najistotniejsze: poprzez tajemniczą przemianę wewnętrzną. Jej wina staje się dla niej samej coraz bardziej wyrazista, aż do punktu kulminacyjnego i swoistego ”wyciszenia” w ostatniej scenie, wraz z pointą, kiedy

Julia zakłada na nogę metalową przepaskę zadającą ból. To znak, że przyjmuje cierpienie. Trudna rola i wielkie aktorstwo, bez którego ten film nie byłby wiarygodny.

Książę tułacz



Ks. Józef Poniatowski przed Pałacem prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu – Warszawa, fot. Stefan Sapeta.

Zdzisław Najder

Kiedy chcę przedstawić osobowość księcia Józefa Poniatowskiego, uświadamiam sobie, że nasuwające się określenia stanowią zbiór (nawet zbiorowisko) składników występujących zwykle osobno, albo nawet przeciwstawnych. Urodzony w Wiedniu z matki Austriaczki (ze starej czeskiej rodziny Kinských) zawsze tylko za Polaka się uważał i najlepiej

czuł w Polsce, zwłaszcza w Warszawie – choć łatwiej mu było flirtować i pisać po francusku. Arystokrata z pochodzenia (babka Czartoryska), związał się z rewolucyjną Francją i Napoleonem; wśród jego marszałków był jedynym cudzoziemcem i jedynym wysoko urodzonym. Krążyły nie bezpodstawne legendy o jego miłosnych podbojach, ale dla tego bawidamka naturalnym zachowaniem było włożyć lulkę w zęby, wziąć karabin z bagnetem od idącego obok żołnierza i poprowadzić batalion piechoty wprost na wroga. Uczestnik kawalerskich szaleństw, jak przejazd nago powozem przez Warszawę, był sumiennym i skutecznym organizatorem wojska, potrafił je tworzyć od podstaw. Z poglądami społecznymi się nie obnosił; nie poczuwał się w tej dziedzinie do roli przywódczej; ale że je miał, i to całkiem radykalne, świadczy jego gniewny list wodza cofającej się przed przygniatającą rosyjską przewagą armii do Stanisława Augusta z lipca 1792:

> Gdybyś WKM na początku tej kampanii… był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobyśmy zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem.

Na uwolnienie chłopów z poddaństwa nie potrafił się zdobyć rząd Powstania Listopadowego czterdzieści lat później! Ojciec księcia Józefa był zadomowiony na cesarskim dworze Habsburgów, on

sam związał się od wczesnej młodości z wojskiem, zwłaszcza kawalerią. Zajmował różne wysokie stanowiska i był jako dowódca uwielbiany przez podwładnych, ale zawsze go kusiła walka w pierwszej linii, zwykle z narażeniem życia, wielokrotnie przypłacana ranami.

Uwielbiał go, wychowywał z oddali i zaopatrywał (dobrowolnie, nigdy nie proszony) w fundusze stryj-król. Ma rację Szymon Askenazy twierdząc, że Stanisław August, człowiek o niewątpliwie znakomitym umyśle i smaku, podziwiał w bratanku cechy, których sam nie posiadał: przede wszystkim męstwo, to znaczy odwagę połączoną z wytrwałością oraz twarde poczucie honoru. I dawał mu z siebie to, co miał najlepszego. Zadbał z daleka – starając się o dobrych pedagogów i bardzo często pisując do ukochanego „Pepi" z dokładnymi instrukcjami – o solidne wykształcenie młodzieńca, marząc po cichu (ale pozwalając się tego domyśleć) o sukcesji na warszawskim tronie. Książę Józef był stryjowi wdzięczny, doceniał w pełni jego troskliwość, szanował osobę i majestat, starał się być jak najbardziej lojalny, nigdy nie posunął się do publicznego potępienia – ale od wiosny 1792 coraz częściej i coraz silniej protestował przeciw jego ustępliwości wobec Rosji i Konfederacji Targowickiej. W lipcu, na wieść o kapitulacji króla, pisał do księżnej Izabeli Czartoryskiej (po francusku, cytuję przekład Askenazego):

> na wszystko byłem przygotowany – lecz nie na podobną nikczemność. … Raczej należało bić się do śmierci, niż oddychać hańbą.

A kiedy sam Stanisław August potwierdził w liście swoje przystąpienie do Targowicy, odpisał:

> Wielki Boże, czemu doczekałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłbyś […] Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon!

Zrobił to jednak w prywatnym liście; odmówił też, po wahaniach, udziału w niespełnionych planach porwania króla przez zwolenników reformy Rzeczypospolitej. Zachowywał się zawsze jednoznacznie: uważał, że Rosja jest dla Polski największym zagrożeniem i do śmierci się jej przeciwstawiał; Napoleon był więc jedynym naturalnym sprzymierzeńcem. Odmówił naleganiom stryja, by do niego przyjechał, do Grodna, a później do Petersburga. Wziął, choć zaskoczony za granicą, udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Bliskie pokrewieństwo z upadającym królem spowodowało jednak, że lata 1793-1809 spędził oblewany pomyjami nieufności, kalumnii i podejrzeń. Fakt, że po śmierci Stanisława Augusta stał się jego jedynym

spadkobiercą – w praktyce oznaczało to lata borykania się z wierzycielami i władzami zaborczymi – jeszcze głębiej go pogrążał.

Wysoka pozycja społeczna księcia Józefa budziła zazdrość. Jego własna prostolinijność i wielkoduszność sprawiały, że był przez zawistnych niszczony jak zwierzę innego gatunku. Podejrzenia i oskarżenia czyniono publicznie; o uczciwości księcia i jego niezłomnej wierności Ojczyźnie świadczą decyzje i deklaracje, które składał prywatnie – jak w przypadku listów do króla. Żadne zarzuty dwulicowości, udziału w intrygach, chęci własnej kariery, tchórzostwa i zdrady nie znajdują potwierdzenia w dokumentach. Podejrzewany był niemal do końca i wszyscy o tym wiedzieli. Kuszony był również do końca, potajemnie, wielokrotnie, przez wszystkie trzy stolice rozbiorcze, które chciały kupić jego poparcie obietnicami wysokich stanowisk. W 1813 robiły to zgodnie Berlin, Petersburg i Wiedeń; ale dopiero wiele lat po śmierci księcia Askenazy i inni historycy znaleźli dokumenty świadczące, że Poniatowski, dotrzymując sekretu, zawsze i jednoznacznie odmawiał. Prawie do ostatniej chwili nie był go całkiem pewien Napoleon (cóż, sądził go według siebie…) – ale potem, już na św. Helenie, pierwszy przyznał księciu miarę nie tylko marszałkowską ale i królewską.



Książę Józef Poniatowski w bitwie pod Lipskiem. Obraz przypisywany Januaremu Suchodolskiemu, fot. PAP.

Pisał liczne listy; wyłania się z nich, obraz człowieka raczej skromnego, bez cienia snobizmu, prawdomównego, świadomego własnych niedoskonałości, uczciwego, gotowego na wszelkie ofiary i wyrzeczenia w imię honoru osobistego i narodowego.

Użyłem słowa „honor”. Współcześni historycy polscy często traktują to pojęcie jak parzący kartofel, wyjęty z polnego ogniska. Przypisanie komuś, że się honorem kierował, wymaga usprawiedliwienia, jak gdyby zachowanie takie było nieco

wstydliwą, sentymentalną czy egocentryczną słabością. Może się czasem wydawać, że tylko niemieccy członkowie spisku von Stauffenberga, którzy sami przyznawali się do zdrady stanu (i zawisali na rzeźnickich hakach), by osłonić innych, nie muszą się ze swojego poczucia honoru tłumaczyć. Tak więc i pułkownik-minister Józef Beck, który podjął racjonalną decyzję odrzucenia obu totalitaryzmów, powinien był się powstrzymać od wypowiedzenia tego żenującego dla polityka słowa. Podobny kłopot z księciem Józefem. Zdarzyło mu się parę razy połączyć dwa porządki: wyboru drogi najlepszej, a zwykle po prostu najmniej dla Polaków historycznie szkodliwej – i drogi honoru, który z konsekwencjami praktycznymi się nie liczy. Połączyć odwagę Rolanda z mądrością równie przecież honorowego Oliwiera. Za każdym razem pociągało to za sobą osobiste i śmiertelne ryzyko; własnego bezpieczeństwa, o zaszczytach i pieniądzach nie mówiąc, nigdy pod uwagę nie brał. I zdobywał skarb w życiu zbiorowym bezcenny: zaufanie.

Książę Józef nie był zazdrosny; na przykład, mimo wszystkich różnic między nimi, zawsze popierał w wojsku Kościuszkę. Był dobrym (choć skłonnym do zaniedbań w kwatermistrzostwa) organizatorem militarnym. Kochał wojsko; jego pobłażliwość dla żołnierzy w ich poza-frontowym życiu irytowała nawet Francuzów. Chwalić się nie lubił; pisząc raporty z frontu wyróżniał towarzyszy broni, nigdy siebie. O jego upartej odwadze wiemy od świadków, bo sam o tym nigdy nie wspominał. Ani o

tym, że potrafił podrywać żołnierzy do boju, przełamywać ich strach i niepewność w wolę walki i w ten sposób odwracać przebieg bitew. Jak to zwięźle ujął Fredro w swoim zapomnianym arcydziele, jakim jest *Trzy po trzy*:

> Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dzieci! w piekło skoczono by za nim.

Był wybitnym dowódcą; jeśli błądził, to zwykle w niedocenianiu własnych możliwości taktycznych; był znacznie bardziej odważny, niż pewny siebie. Przed potwarzami nie umiał i zwykle nie chciał się bronić. Dopiero bitwa pod Raszynem, która tylko dzięki niemu nie zakończyła się bezładnym odwrotem, ukazała go narodowi w jednoznacznym świetle i politycznym i moralnym. Stryj-król już nie żył, a Książę stanął do boju o Warszawę przeciwko dawnym austriackim towarzyszom broni. I tak wytrwał przez cztery lata, w nieustannej pracy i walce. Pod Lipskiem, w obliczu klęski Napoleona – który jedyny mógł pomóc w zachowaniu niepodległego wojska polskiego – powtarzał: *Il fautmourir en brave*, „trzeba umrzeć mężnie”.

W pamięci i wyobraźni zbiorowej narodu książę Józef utrwalił się

w dwu postaciach: skaczącego do Elstery ułana i spiżowego wodza na koniu.

Zginął śmiertelnie raniony (zapewne przez cofających się Francuzów…) w błotnych rozlewiskach rzeki. Przez pokolenia dziesiątki tysięcy Polaków oglądało obrazy jego śmierci – świadome daremności tej bohaterskiej ofiary. Chwila była wzniosła, gest teatralny – i bezowocny. Wizerunki budziły podziw i szacunek – ale nie nadzieję; pewnie dlatego cenzura oleodruków nie tępiła. Z perspektywy lat można pomyśleć: nie wiele zaznał szczęścia w życiu, ale zginął w odpowiedniej chwili. Jakże marny byłby jego los, gdyby przeżył! Jeszcze jednego uczestnika emigracyjnych złudzeń, swarów i rozczarowań? Poddanego Austrii, Prus albo Rosji?

Ledwie przez Thornswaldena wykonany pomnik księcia stał się – zamiast niego! – tułaczem. Pierwszy odlew, przekazanygenerał gubernatorowi Paskiewiczowi, do 1898 przeleżał w magazynach twierdzy Modlin, a potem do 1921 ozdabiał ogrody Paskiewiczów pod Homlem. Rzeźbiarz przedstawił Poniatowskiego na wzór Marka Aureliusza z rzymskiego Kapitolu. Książę ma twarz człowieka o skupionej uwadze, w prawej dłoni trzyma poziomo krótki miecz, w pozycji wyrażającej gotowość do służby. Spiżowy posąg postaci tak dramatycznie złożonej, której prawdziwą wielkość poznać można dopiero w zbliżeniu, pod lupą badaczy, jest całkiem jednolity, nie ma plam, pęknięć czy rysów. Jest jak

jego wzór: książę Józef, spoistym stopem, choć z tylu składników złożonym.

Ponad wiek lat później, już w Niepodległej, mówił o nim Piłsudski (nieskory do pochwał):

> …zostało wielkie imię, któremu obecnie pomniki stawiają, czyniąc go ojcem honoru i ojcem ojczyzny.

Oto wódz Polaków, którzy chcieli się wybić na niepodległość – na pewno najświetniejszy przez całe 123 lata porozbiorowe. Czy nie przed JEGO pomnikiem powinniśmy zaczynać pochody do Belwederu? Dwaj panowie JP są siebie godni; łączyło ich znacznie więcej, niż inicjały i wąsy.

Brazylia, Argentyna,

Urugwaj

Buenos Aires. Kościół św. Ignacego.

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

W deszczowy późny wieczór 25 listopada 1995 pani Ermelinda Maria Pereira wiezie mnie na lotnisko w Lizbonie. Leje straszliwie i zimno. Za to nazajutrz w Rio de Janeiro piękny, słoneczny poranek, gorąco, oczywiście. Witają mnie Luitgarde i jej mąż. Jedziemy do nich, do pięknej, eleganckiej dzielnicy w południowej części miasta, Laranjeiras (Gaj Pomarańczowy). Mieszkanko Luitgardy ciasne. Gospodyni ma wielką ochotę na długą konwersację, a ja po dwóch godzinach ze zmęczenia spadam z krzesła. Wreszcie odpoczywam w dusznym, zagraconym do niemożliwości pokoju jej syna. Nade mną wisi pod sufitem rower górski. Zastanawiam się, czy nie spadnie mi na głowę w którymś momencie… Zmęczenie jest tak upiorne, że nie mogę zmrużyć oka. Na szczęście, wieczorem idziemy do

Nireu, brata Luitgardy, na sąsiednią ulicę. Zamieszkam u niego, wysoko, w facjatce z balkonem. Gospodarze ostrzegają, abym nie kręcił się po balkonie, bo może mnie trafić jakaś błędna kula z faweli za skalistym wzgórzem. Jestem szczęśliwy, bo mam tu własną łazienkę, a poza tym, przy otwartym na oścież balkonie, temperatura jest nawet znośna.

Za parę dni (29 i 30 listopada) mam na Uniwersytecie Stanowym cykl trzech wykładów. Zorganizowała je Luitgarde i nawet mi za nie zapłacono. Na wykładzie o dialektach portugalskich zaszczycił mnie swoją obecnością wybitny językoznawca brazylijski, urodzony w 1928 w Recife prof. Evanildo Cavalcante Bechara (brał też udział w dyskusji!!!). Po wykładzie o sztuce polskiej Luitgarde zaprosiła mnie na obiad do restauracji uniwersyteckiej, gdzie ujrzała w przeciwległym rogu wielkiej sali swojego znajomego profesora o imieniu Ricardo. Huknęła do niego potężnym i przeciągłym „Ricaaaardo!!!", a do mnie rzekła bez najmniejszej żenady, wręcz z nieukrywanym zadowoleniem: „Nie jesteśmy w Polsce!".

Brasilia. Pałac Itamaraty.

Któregoś dnia (chyba jeszcze przed wykładami) skorzystałem z propozycji Nireu, aby towarzyszyć mu w podróży do miasta

Vassouras, 116 km na północny wschód od Rio de Janeiro. Nireu jechał tam na jakieś sympozjum naukowe, a ja miałem obejrzeć to niewielkie miasto, położone na wysokości 436 m. Leży w dolinie rzeki Paraíba i jego okolice słyną z uprawy kawy, stąd na obrzeżach miasta kilka wielkich gospodarstw (*fazendas cafeiras*) nastawionych na produkcję kawy. Przy nich stare, stylowe siedziby ich właścicieli. Są to eleganckie, jednopiętrowe pałace lub wysokie parterowe dwory. Samo centrum miasteczka stanowi piękny, wysadzany palmami królewskimi, bardzo obszerny plac, który łagodnie opada od stojącego na szczycie dwuwieżowego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia (1858). Pozostałe budowle, w tym zarówno ratusz, jak i Pałac Miejski, także pochodzą z tego okresu.

Zarezerwowałem wykupione w Lizbonie po bardzo promocyjnej cenie bilety lotnicze na sześć przelotów na terenie Brazylii i w sobotę, 2 grudnia, ruszyłem autobusem do São Paulo, a potem dalej, aż do Assis. Po drodze pamiętam tylko, że mijałem wybitnie brzydką sylwetkę Bazyliki Matki Boskiej „Ukazanej” (*Aparecida*), patronki Brazylii, w niewielkim miasteczku w głębi stanu São Paulo. Podróż zajęła mi cały dzień, gdyż do São Paulo jest 429 km i niemal drugie tyle z São Paulo do Assis. Zwłaszcza ten drugi odcinek dłużył mi się niemożliwie. Na dworcu autobusowym w Assis para zgarbionych staruszków: Rafael i Balbina. Mój Boże! A 28 lat temu byli tacy młodzi i pełni życia, weseli i dowcipni! Zamieszkałem w hotelu „Onix”, z

basenem na tarasie pierwszego piętra. Nazajutrz, w niedzielę, 3 grudnia, zostałem zaproszony na obiad do Rafaela i Balbiny w ich domu-fortecy, otoczonym wysokim murem. Rafael przygotował nawet nasze zdjęcia z Hiszpanii z lat 1967-68. Mieli straszne przeżycia z synem, który ciężko chorował i bardzo są zgnębieni tym faktem. Uciekła z nich cała radość życia. Stali się parą zgorzkniałych starców. Wielka szkoda! W Assis nie ma właściwie nic ciekawego. Miasto jest nowe, ulice wspinają się i opadają faliście po czerwonych wzgórzach. Ziemia tu, podobnie jak w argentyńskiej prowincji Misiones, jest ceglasto czerwona. W poniedziałek, 4 grudnia, mój wykład o hiszpańszczyźnie argentyńskiej, potem obiad w jakiejś pizzerii. Byłem też na próbie chóru studenckiego, który, pod kierunkiem Balbiny, śpiewa hiszpańskie pieśni.

We **wtorek, 5 grudnia**, wczesnym rankiem jadę do São Paulo, gdzie na dworcu autobusowym czeka na mnie profesorka Lilette na Uniwersytecie w Montpellier, pani Diva Damato. Miła i dystyngowana pani, która od razu mnie rozpoznała w tłumie, choć nigdy przedtem się nie widzieliśmy. Zostawiam bagaże w hotelu i idziemy na obiad do restauracji, gdzie cena zależy od wagi potraw. Przyzwoicie, smacznie i tanio. Pani Diva ma jakieś zobowiązania i po obiedzie żegnam się z nią. Jadę zwiedzić słynne Muzeum Sztuki przy Avenida Paulista: nowoczesny budynek wsparty na czterech czerwonych filarach. Potem spacer tą znaną aleją, ale robi się późno, więc wsiadam do metra i

podjeżdżam w stronę Placu Katedralnego. Odległości niesamowite! Dziwnym trafem zjawiłem się na tyłach Katedry Metropolitalnej XIX, gdzie podejrzana dzielnica swawolnych pań. Obszerny skwer. Nagle susami biegnie ku mnie wielki Murzyn i łapie za rękę z radzieckim zegarkiem, chcąc go ściągnąć, a ja tymczasem panicznie boję się, że mi wyrwie zawieszoną na ramieniu płócienną torbę z biletami, dokumentami, pieniędzmi! Podbiega drugi Murzyn i obaj szarpią się ze mną. Zupełnie nie wiem, jak mi się udało im wyrwać i nie stracić niczego, ale strachu najadłem się co niemiara. Bądź co bądź pierwszy i jak dotąd jedyny raz w życiu zostałem właśnie wtedy napadnięty…

Buenos-Aires. Gmach. Wodociągów.

Środa, 6 grudnia. Samolot do Recife – 2672 km – miał odlecieć o 9.30 rano, ale ma gigantyczne opóźnienie. Odleci około godziny 16-tej. Zawiadamiam telefonicznie żonę Antônia Barrosa, szwagra Luitgardy, o spóźnieniu. Dostajemy obiad na koszt linii lotniczych, a oprócz tego załatwiam sobie, także na ich koszt, taksówkę do miasta w obie strony. Bardzo sympatyczny kierowca gna ze mną do kolejnego muzeum, tym razem Muzeum Sztuki Nowoczesnej w parku Ibirapuera. Pożeramy ogromne odległości. Z lotniska to bardzo daleko i z trudem zdążyłem z powrotem na samolot. Pod wieczór ląduję w Recife, gdzie czeka Antônio

Barros. Zatrzymam się u nich w bloku, w pokoju jednej z dwóch córek. Mało wygodnie, niestety, ale cóż!

Buenos-Aires. Muzeum Sztuki Hispanoamerykańskiej.

Tego samego wieczora jedziemy do pobliskiej Olindy. To tylko 6 km. O tym mieście marzyłem od dawna. Kilka kościołów obejrzanych wewnątrz i w jednym z nich koncert, na którym zostajemy. Nazajutrz Antônio ma załatwić jakieś sprawy w Igarassu, Goiana i João Pessoa, więc korzystam z jego zaproszenia i jadę razem z nim. Cóż za wspaniałe kościoły w Igarassu! Przede wszystkim najstarszy w całej Brazylii funkcjonujący do dziś kościół Świętych Kosmy i Damiana z 1535 oraz kościół i klasztor Św. Antoniego, wybudowany pod koniec XVI, z przepięknym frontonem o trzech oknach na piętrze i trzech łukach na dole. Wewnątrz pinakoteka. Trzecim ważnym kościołem jest kościół Najświętszego Serca Jezusa, największy z nich, o szerokiej, pełnej okien fasadzie. Stoi tuż obok kościoła Św. Kosmy i Damiana. I to wszystko tonie w tropikalnej, bujnej niezwykle zieleni, wszędzie całe gęste gaje palm kokosowych. Tropik w najczystszym wydaniu! Ulice w starym centrum zachowały dawny autentyczny bruk, zwany *pé-de-moleque* (stopa malca). W Goiana kościół Matki Boskiej Różańcowej XVIII nieco skromniejszy. Godnym zwiedzenia jest także kościół Matki

Boskiej z Góry Karmel, XVII-XVIII. Jednak absolutną perłą jest kościół Św. Franciszka w mieście João Pessoa, z końca XVIII. Przepiękna fasada z łukami wypełnionymi rzeźbionymi balaskami, a wewnątrz portugalskie kafelki, pokryte złotem rzeźby w stylu rokoko, malowidła. Wraz z przyległym doń klasztorem Św. Antoniego stanowi największy zespół barokowy na świecie.

Piątek, 8 grudnia. Cały dzień spędzam na zwiedzaniu miasta Recife (3,5 miliona mieszkańców). Bazylika i klasztor Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII: meble z XIX, rzeźby pokryte białym złotem. Kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia od Żołnierzy, XVIII: fronton barokowy, rzeźby pozłacane, ambona w stylu z epoki Jana V, malowidła przedstawiające pierwszą ze zwycięskich bitew pod Guararapos w 1648 przeciwko Holendrom. Kościół Matki Boskiej Różańcowej Ludzi Czarnych, XVII: obrazy z XVIII. Kościół Trzeciego Zakonu Franciszkańskiego i klasztor Franciszkański Św. Antoniego, XVII: barokowy, malowidła na kopule z XVIII, złota kaplica z XVII, jej ściany wykładane palisandrem i cedrem. Kościół Najświętszego Sakramentu, XVIII: fasada w stylu manuelińskim, ołtarze barokowe i neoklasyczne. Kościół Św. Piotra od Kleryków, XVIII, dominuje nad placem zwanym Dziedzińcem Św. Piotra, otoczonym niskimi kolonialnymi kamieniczkami. Na suficie barokowe malowidło przedstawiające powołanie kościoła. W Muzeum Człowieka Północnego Wschodu (*Museu do Homem do*

Nordeste) eksponaty związane z antropologią regionu, uprawą trzciny cukrowej, rzemiosłem artystycznym, folklorem, literaturą „sznurkową”, instrumentami kultów afro-brazylijskich i niewolnictwem.

Kościół św. Aleksandra w Belém do Pará.

Sobota, 9 grudnia. Rano wyjazd na plażę Porto de Galinhas, 75 km na południe od Recife. Ładna, ale nie tak piękna jak Las Cuevas Beach na Trinidadzie, Chichiriviche w Wenezueli, czy Bahía Villa Concha w Kolumbii. Niezbyt ciekawe domki ukryte wśród palm kokosowych. Mnóstwo łodzi żaglowych. W drodze powrotnej, jeszcze przed Recife, Jaboatão dos Guararapes i kościół Matki Boskiej od Przyjemności, wzniesiony w drugiej połowie XVII na miejscu słynnych bitew pod Montes Guararapes w 1648 i 1649, w których wojsko portugalsko-brazylijskie pokonało znacznie liczniejsze oddziały Holendrów. Jest to jedyny w stanie Pernambuco kościół o fasadzie wykładanej całkowicie portugalskimi kafelkami. Na miejscu bitew stoją małe armatki na drewnianych wózkach.

Brazylia. Równina Łowców Jeleni.

Po południu, w palącym słońcu oglądam kościoły w Olindzie. To nic, że słońce tak piecze. Sceneria jest przepiękna: usytuowane na wyniosłym wzgórzu miasteczko spogląda ku turkusowym wodom oceanu w dole, a wieże licznych kościołów wyrastają z gęstwy niezwykle bujnej, ciemnozielonej roślinności. Czyż może być coś wspanialszego? A powietrze, jego świetlistość są tu nadzwyczajne! Za najpiękniejszy uchodzi w Olindzie klasztor Św. Franciszka z końca XVI, a w nim kaplica Świętych Rocha i Anny, kościół Matki Boskiej Śnieżnej i kaplica Św. Franciszka. W tej pierwszej kaplicy, ściany pokryte kafelkami portugalskimi i rzeźby aniołów. W kaplicy Św. Franciszka także kafelki portugalskie. Wspaniały jest klasztor Św. Benedykta (*Mosteiro de São Bento*), o kilka lat starszy od poprzedniego, z pięknym ołtarzem głównym i ambonami (to zwyczaj portugalski: w prawie każdym kościele są po dwie ambony, jedna naprzeciwko drugiej) rzeźbionymi w drewnie. Oglądam jeszcze klasztor Jezuitów i katedrę z tarasem widokowym na klasztor Św. Franciszka, Św. Piotra i kościół Matki Boskiej z Góry Karmel. Na koniec, kościół Matki Boskiej Opiekunki z pierwszej połowy XVI. Znakomicie wybrali sobie to miejsce mnisi i księża portugalscy w XVI wieku. Zaiste trudno o piękniejsze miejsce na ziemi!

W **niedzielę, 10 grudnia**, tuż po północy przylatuję do miasta Belém do Pará (2089 km) i … nikt na mnie na lotnisku nie czeka! Nie widzę nikogo z moim nazwiskiem w ręku. Wypalam papierosy jeden po drugim. W krótkim czasie wypaliłem prawie

całą ich paczkę. Trafiam na czarnoskórego taksówkarza, który próbuje mnie pocieszyć mówiąc, że gdy skończy pracę, zajmie się mną i na pewno mi pomoże. Około godziny czwartej nad ranem zabiera mnie do hotelu „Terminal". Okropny! Klimatyzacja huczy jak w fabryce, a mimo to gorąco. O spaniu nie ma mowy. Zjeżdżam do recepcji, by zmienić pokój i oto pojawia się mój taksówkarz, który inteligentnie zapisał sobie moje nazwisko i znalazł je w recepcji hotelu „Novotel"! Jestem mu bardzo wdzięczny. Jedziemy więc do „Novotelu". Po krótkim spaniu i śniadaniu bezskuteczna próba kontaktu z wykładowcami z miejscowego uniwersytetu. Indianin z Rondônii w oryginalnym, naturalnym wielce stroju na pocztówce w hotelowym kiosku. Wczesnym popołudniem jadę autobusem do starego centrum Belém. Miasto ma ponad 2 miliony mieszkańców. Upał niemiłosierny – 35 stopni! Nad ogromną czekoladową rzeką Guamá, południową odnogą Amazonki, słynny targ *Ver-o-Pêso*, ale już sjesta, pusto i parę osób śpi, inne jedzą jakieś tłuste potrawy. Zapach unoszący się znad kramów nie zachęca do dalszego spaceru.

Portugalska forteca z 1616, zwana Fortem Szopkowym (*Forte do Presépio*), a obecnie Fortem Zamkowym (*Forte do Castelo*), niska, z działami wycelowanymi w kierunku Amazonki. Dalej, kilka dość ładnych kolorowych kamieniczek i plac z wielkimi drzewami mangowymi. Tych drzew jest w mieście tyle, że zasłużyło z pewnością na miano „miasta mangowców".

Kościół Św. Aleksandra w rusztowaniach, a katedra zamknięta. Na placu przed kościołem Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII, artystyczne strącanie owoców mango: mężczyzna rzuca kamieniem uwiązanym na sznurku, po czym przyciąga go do siebie strącając owoce z wysokich konarów potężnego drzewa. Koszary Marynarki, biały Pałac Lauro Sodré i niebieski Pałac Antônia Lemosa pochodzą z drugiej połowy XIX, a styl, w jakim je wybudowano, zwie się w Brazylii cesarskim stylem brazylijskim lub późnym stylem neoklasycznym. Budynek prefektury też w tym samym stylu. Jeszcze parę ładnych kamieniczek wykładanych kafelkami, mały, skromny kościółek Św. Jana(XVIII), kościół Matki Boskiej Łaskawej, XVII i oto całe stare miasto. Na placu przed obu pałacami, wśród mangowców, pomnik „dzielnego" generała Hilário Maximiliano Antunes Gurjão, który urodził się w Belém do Pará w 1820, a umarł w 1869 na skutek ran odniesionych w „chwalebnej" bitwie pod Itororó w czasie wojny z Paragwajem.

Autobusem do nowego centrum i Bazylika Nazaretańska, 1909, kopia rzymskiej Bazyliki Św. Pawła za Murami. Sufity z miejscowego cedru, a ambony, ołtarze i posadzki marmurowe. Wszędzie złocenia i brązy, ogromne bogactwo tej udanej imitacji. Potem Plac Batista Campos, mały park w środku miasta. Mangowce, palmy, bambusy, rzeczki, kamienne i drewniane mostki, „średniowieczna" baszta. Na pobliskim Placu Republiki, zwanym także Placem Prochowym, neoklasyczny gmach Teatru

Pokoju (*Teatro da Paz*), koniec XIX. Greckie kolumny, medaliony z popiersiami, posągi. Nieprawdopodobne bogactwo osiągnięte dzięki „boomowi" kauczukowemu. Imitacja opery paryskiej. I kolejny przykład lokalnej pretensjonalności: Pałacyk Bolonia (*Palacete Bolonha*), smukła kamienica upstrzona wieżyczkami, basztami, kolumnami o głowicach niczym wielkie baranie rogi obwieszone winogronami. Obok, Centrum Izraelskie w całkiem ładnej willi i restauracja żydowska „Dania domowe" (*Comida caseira*). Niedaleko stąd w jakiejś taniej knajpce jem pizzę czy kanapkę, podczas gdy WSZYSCY obecni nie odrywają oczu od telewizora. Trwa jakiś mecz i w momencie, gdy strzelają gola, rozlega się piekielne, wręcz opętańcze wycie zgromadzonych tam zagorzałych kibiców. W życiu czegoś takiego nie słyszałem i nie chciałbym za nic w świecie ponownie usłyszeć. To było nieludzkie, zupełnie jakby poddawano ich wszystkich naraz jakimś nieprawdopodobnie wymyślnym torturom, jakby smażono ich żywcem. To się nie da opisać!!!



Naczynie z krowiego rogu.



Naczynie z tykwy do picia mate-mate burilado.

Poniedziałek, 11 grudnia. Po śniadaniu kolejna nieudana próba skontaktowania się z uniwersytetem. Autobusem na Wyspę Mosqueiro. Wjazd na wyspę przez most, który łukiem spina ją z lądem. Suchy las i drugi brzeg wyspy. Uderzają weń spore fale kawowej zatoki Marajó. Na piasku czarne głazy. Ładne plaże i wille letniskowe nad zatoką. Na końcu długiego mola statek, którym wracam do Belém. W dali małe i wielkie wyspy porośnięte tropikalnym lasem. Potem ciąg przemysłowo-portowych osiedli po lewej. I nagle wyrasta na horyzoncie Belém niczym Nowy Jork. Las wieżowców jest doprawdy imponujący. Wstąpiłem jeszcze do Kolegium Salezjańskiego na rozmowę z ojcem dyrektorem. Jestem umówiony na jutro z polskim zakonnikiem ojcem Tadeu o godzinie ósmej rano.

Wtorek, 12 grudnia. Ojciec Tadeu okazuje się miłym 85-letnim staruszkiem. Spędził 60 lat w Brazylii i czasem woli mówić po portugalsku. Już mu się trochę plącze polszczyzna. Niestety, nie zna nikogo w São Luís, dokąd wybieram się już jutro wieczorem. Ksiądz dyrektor wypytuje o uniwersytet i postanawia pojechać tam ze mną. Przedtem oglądam nieco zaniedbane wnętrze kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel, XVII, z bardzo ciekawym ołtarzem głównym: anioły, piękne posągi świętych. Później, wnętrze Katedry (XVIII) z lampionami i złoceniami w stylu opery paryskiej.

Wizyta na uniwersytecie pozytywna. Rekompensują mi częściowo

straty materialne i fundują bilet autobusowy do São Luís. Dowiaduję się też, że w hotelu mam opłacone wszystkie posiłki, sic! A ja się pętałem w niedzielę i wczoraj po jakichś barach i pizzeriach!!! Podczas obiadu w hotelu zjawia się prof. Anna Cristina Bentes da Silva, czyli osoba, która miała być na lotnisku. Twierdzi, że ona nie mogła i prosiła koleżankę, aby po mnie wyjechała, a teraz nie wie, dlaczego tamta tego nie zrobiła... Powiem tak: milusińskie Brazylijeczki, nie ma co!!! Teraz wychodzi ze skóry, aby być miła, ale tego, co ja przeżyłem w tym Belém do Pará z jej winy nie da się, niestety, NICZYM zrekompensować. Wiezie mnie na dworzec autobusowy (*Terminal Rodoviário*), gdzie kupuję bilet na jutro do São Luís. Potem Muzeum imienia Emilia Goeldiego (*Museu Paraense Emílio Goeldi*). To cały kompleks. Zwiedzam najpierw tak zwany ogród zoo-botaniczny, w którym: liście victoria-regia, tutejsze palmy *açaí (Euterpe oleracea,* po polsku euterpa warzywna*)*, których owoce są tu ulubionym przysmakiem, drzewa kauczukowe, gigantyczne puchowce, palmy oleiste, pumy, jaguary nakrapiane i czarne, węże elektryczne, manaty, żółto-zielone papugi, anakondy, węże boa, ibisy szkarłatne, harpie, czarne kajmany, ogromne trzymetrowe ryby pirarucu (*Arapaima gigas*). Dalej, akwarium, gdzie 36 sekcji z rybami charakterystycznymi dla Amazonii. Wreszcie, stała wystawa z eksponatami dotyczącymi nauk o Ziemi, botaniki, zoologii, antropologii i archeologii: wspaniałe urny, naczynia, wazy, pochówki wśród kawałków muszli na sąsiedniej wyspie Marajó –

niezwykle ciekawe!

O godzinie 19-tej, w wielkim audytorium Centrum Filologii i Sztuki na Uniwersytecie Federalnym Stanu Pará dwugodzinny wykład: “Nauczanie języków romańskich w Polsce”. Tłum studentów, mnóstwo pytań i bardzo długa dyskusja. Potem Cristina zaprasza na kolację w restauracji „Lá, em casa” (*Tu, w domu*). Piękna sceneria pod konarami rozłożystych akacji tropikalnych, oplątanych wielkimi liśćmi filodendronów, niczym w hawańskiej „Tropicanie”. Cała gama typowych dla regionu potraw: *açaí* – bordowa galaretka z owoców tutejszej palmy o tej samej nazwie (po polsku zwie się enterpa warzywna), kaczka w żółtym sosie *tucupí* (sos z manioku), liście manioku z puré z czarnej fasoli, amazońska ryba *pirarucu*, inna ryba amazońska zwana *filhote* (*Brachyplatystoma filamentosum*), *jambú* – liście rośliny o nazwie naukowej *Acmella oleracea*, które podaje się wraz z maniokowym sosem *tucupí*, a na deser lody z brązowych owalnych owoców *cupuaçu* (*Theobroma grandiflorum*), o białym miąższu.

Olinda. Kościół Matki Boskiej z Góry Karmel.

Środa, 13 grudnia. Rano do księdza dyrektora Kolegium Salezjańskiego. Załatwia mi w São Luís nocleg w Ośrodku

Wychowawczym im. Św. Józefa Robotnika, prowadzonym przez Biedne Sługi Boskiej Opatrzności (*Centro Educacional São José Operário, Pobres Servos da Divina Providência*). Potem muzeum w Palácio Lauro Sodré (białym pałacu) – trochę mebli, kryształów, dość skromnie. Znacznie ciekawsze jest muzeum w niebieskim Palácio Antônio Lemos: meble, obrazy, rzeźby w stylu retro, stiuki, marmury, Salon Zielony, Szlachecki i Różowy. Kościół Matki Boskiej Różańcowej z Caupina, zamknięty, z zewnątrz skromny, drzewa rosną na dachu. Kościół Św. Anny większy niż poprzedni, ale odrapany i skromny na zewnątrz. W środku ciekawa górna część ołtarza głównego z posągami aniołów. Kościół Matki Boskiej Łaskawej z 1640, dość ciekawy na zewnątrz – ładny fronton z dwiema wieżami po bokach, wewnątrz pozbawiony ciekawszych elementów. Właściwie prawie wszystkie kościoły w Belém do Pará są zaniedbane (na dachu często rosną drzewka i inne rośliny), fasady odrapane, z wyjątkiem katedry i Bazyliki Nazaretańskiej. Po kolacji Cristina odwozi mnie na dworzec autobusowy. Odległość do São Luís 806 km. Jadę całą noc.

Czwartek, 14 grudnia. Rano rozległe lasy palmowe, bawoły, krowy. Droga fatalna: chyba dwa razy autobus przejeżdża jakieś rzeki w bród. Z dworca autobusowego w São Luís telefonuję do Ojca Adelmo, który niedługo potem zawozi mnie na miejsce. W moim pokoiku po ścianach spacerują tłumnie jaszczurki i czarne gąsienice. Po obiedzie w stołówce, autobusem do miasta,

odległość 25 km. Miasto bardzo ciekawe, pełne starych domów kolonialnych (niektóre ich zespoły pięknie odrestaurowane). Stare brukowane uliczki opadają i wspinają się. Niektóre z nich (Rua do Giz, Rua da Palma) w górnej części mają strome i długie schody. Sporo kamienic wykładanych niebieskimi kafelkami. Pięknie położony pałac gubernatora (*Palácio dos Leões*), otoczony palmami i posążkami lwów, na wzgórzu nad morzem. Katedra pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej pochodzi z XVII, ale była kilkakrotnie przebudowywana, co nie wyszło jej na dobre. *Cafua das Mercês* to mały jednopiętrowy niebieski domek z wąziutkimi oknami. To tu odbywała się licytacja przybyłych do São Luís niewolników afrykańskich. Ciekawszy od katedry jest kościół Wygnania (*Igreja do Desterro*), z początku XVII. Uchodzi za najstarszy kościół w mieście i jedyny w całej Brazylii kościół katolicki o cechach bizantyjskich. W istocie, ma okrągłą kopułę i rzadkie w świątyniach katolickich duże ozdoby we frontonie, w kształcie odwróconych serc.

W Klasztorze Matki Boskiej Łaskawej, wielkim różowym budynku z 1645, mieści się stworzona przez byłego prezydenta José Sarneya, który stąd pochodził, Fundacja Pamięci Republikańskiej. W tym muzeum zgromadzono obrazy, medale, pamiątki, prezenty od głów państw, karykatury, rekwizyty folklorystyczne, oryginały takich znanych dzieł jak *Espumas flutuantes* (Płynąca piana) brazylijskiego poety Castro Alvesa, *Sermões* (Kazania) Ojca Antônio Vieira, oryginały dzieł Eça de

Queirós, Jorge Amado i Camilo Castelo Branco. Powrót autobusem do Cidade Operária (Miasta Robotniczego) w potwornym tłoku. Pasażerowie wchodzą do autobusu całym wielkim stadem, wszyscy naraz, rozpychają się niemożliwie, uderzają w plecy i ani pół słowa „przepraszam”. W takim tłoku jeszcze nigdy nie jechałem.

Piątek, 15 grudnia. Ojciec Reinaldo wiezie mnie do miasta. Jego najwłaściwsze centrum to Plac João Lisboa, inaczej zwany Placem Matki Boskiej z Góry Karmel (*Praça de João Lisboa, Largo do Carmo*). W istocie kościół pod tym wezwaniem stoi właśnie przy tym placu. Skromny, bez ciekawszych ozdób, z zamalowanym wewnątrz starym drewnianym sufitem. Sklep-wystawa: rekwizyty do regionalnego tańca ludowego z tego regionu (Maranhão). Taniec zwie się *Bumba-Meu-Boi* (co można by przetłumaczyć: wstawaj, mój wole!). Biorą w nim udział ludzie i fantastyczne zwierzęta, a zasadniczy jego wątek to śmierć i zmartwychwstanie wołu. Poza tym w sklepie rękopisy z XVI i XVII wieku.

Po południu lot do Brasílii via Teresina (Maranhão), 2028 km. Przylatuję około godz. 17.30 (tu różnica jednej godziny). Jonas czeka na lotnisku i jedziemy do niego, do miasta Taguatinga, 19 km stąd. Poznaję jego rodziców i siostrę Simone. Lokuję się w małym domku, gdzie będę mieszkał sam. Sympatycznie. Wieczorem jedziemy do Brasílii wraz z byłą sympatią Jonasa,

śliczną Aline. Pięknie śpiewa po polsku „Taki śmieszny jesteś pod oknem” i romanse cygańskie po rosyjsku. Wypiliśmy morze piwa w „Beirute”, najstarszym barze stolicy.

Sobota, 16 grudnia. Zwiedzanie stolicy. Nowoczesne miasto wybudowane w latach 50-tych XX na Środkowym Płaskowyżu. Od 1960 stolica Brazylii. Obecnie ma ponad 2,5 miliona mieszkańców. Dużą część budynków projektował Oscar Niemeyer. Miasto ma kształt samolotu i dostosowane jest do ukształtowania terenu i leżącego w pobliżu jeziora Paranoá. Znajdujący się nad nim Park Miejski jest największym parkiem miejskim na świecie. Wieża telewizyjna ma 224 m wysokości. Z tarasu widokowego na wysokości 75 m panorama tak zwanego *Plano Piloto*, czyli całego miasta w kształcie samolotu. Memoriał prezydenta Kubitschka, który w kwietniu 1960 dokonał inauguracji miasta: fotografie, prezenty, pamiątki, medale i w miejscu, gdzie grób prezydenta, przyćmione światło, półmrok. Teatr Narodowy Cláudio Santoro wygląda jak olbrzymi stadion. Katedra Metropolitalna jest okrągła. Tworzy ją 16 filarów na bazie koła. W intensywnie oświetlonym wnętrzu unoszą się trzy anioły, a na zewnątrz, stoją posągi czterech ewangelistów i dzwonnica.

Rio de Janeiro. Portugalski Królewski Gabinet Lektury.

Najciekawszy jest Plac Trzech Władz (*Praça dos Três Poderes*): Pałac *Planalto* (Urząd Prezydenta, władza wykonawcza), Pałac Najwyższego Trybunału Federalnego (władza sądownicza) i Kongres Narodowy (władza ustawodawcza). Tuż przy nich Panteon Ojczyzny (*Panteão da Pátria*). Pięknie prezentuje się rezydencja Prezydenta, Pałac Jutrzni (*Palácio da Alvorada*), na półwyspie wrzynającym się w jezioro, otoczony basenem, z dwiema nowoczesnymi rzeźbami kobiet przeglądającymi się w lustrze wody. Pałac Sprawiedliwości, oszklony, z wodnymi zasłonami spadającymi wzdłuż fasady, jest otoczony ogrodami i znajduje się tuż przy najszerszej na świecie alei, zwanej Osią Monumentalną. Pałac *Itamaraty*, zwany także Pałacem Łuków, o łagodnych liniach, zdaje się płynąć nad lustrem otaczającej go wody i ogrodami Burle Marxa. Jest siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Charakterystyczny dla miasta jest pomnik Dwóch Pionierów (*Monumento de Dois Candangos*), symbol dwóch pierwszych osiedleńców w Brasílii.

Uniwersytet także projektował Oscar Niemeyer. Jest długi, biegnie łukiem długości jednego kilometra. Pośrodku, między budynkami, kolorowy ogród: palmy, bugenwille i inne krzewy. Pomnik Johna Lennona i ciekawa bryła Biblioteki Uniwersyteckiej. Przy budynku rektoratu dziedziniec, którego połowę stanowi dekoracyjny basen. Wyrastają z niego palmy z koronami wystającymi nad ażurowym dachem.

Niedziela, 17 grudnia. Wyjazd do Pirenópolis, 170 km na zachód od Brasílii. Po drodze widoki wyżyny centralnej (*planalto*) i niewysokich szczytów na horyzoncie (*Serra dos Pireneus*). Cały ten region zwie się *Chapada dos Veadeiros* (Równina Łowców Jeleni). Ciemnozielony pejzaż, wspaniałe świeże powietrze. Około 30 km przed Pirenópolis ładna, szeroka kaskada o nazwie *Salto de Corumbá.* Jonas z ojcem jedzą potrawę z młodej kukurydzy nadziewanej mięsem, *pamonha*. Bardzo smaczna. W małej knajpce o nazwie *Restaurante de Dona Cida*, za drewnianym mostkiem na Rio das Almas, jemy znakomity obiad. Bogactwo sałatek (*quiabo*, czyli *quimbombó: Abolmeschus esculentus* i gorzkie *jiló: Solanum gilo*). Jeden z kelnerów nazywa się Konski, ale nie mówi po polsku.

Kościół Matki Boskiej Różańcowej, 1728, patronki miasta, stoi na wzgórzu. Z zewnątrz odrapany, walący się, z dwiema ładnymi wieżyczkami. W środku prawie pusty. Tylko kolebkowe drewniane sklepienie z ciekawym malowidłem przedstawiającym Matkę Boską. Przeważa jaskrawa czerwień i błękit. Po obu stronach łuku tęczowego dwie ciekawe rzeźby aniołów grających na trąbach. Powyżej kościoła, na Rua Nova, pojawiają się ładne kolonialne, na ogół parterowe domy, niektóre z portugalskimi oknami „gilotynowymi". W całym mieście sporo palm królewskich. Muzeum Rodziny Pompeu, XVIII, gdzie mieściła się pierwsza drukarnia, zamknięte. Na Rua Direita najwięcej pięknych kolonialnych parterowych kamieniczek,

zwanych tutaj *casarões.* W nowej willi, *Museu das Cavalhadas*, czyli Muzeum Konnych Walk Maurów i Chrześcijan, tradycji pochodzącej z epoki Karola Wielkiego. Dwa małe pokoiki, a w nich: czerwone stroje Maurów i niebieskie Chrześcijan (kapy, hełmy), maski wyobrażające woły i jaguary. W tych maskach w okresie Zielonych Świątek przemierzają miasto przebierańcy na koniach lub pieszo. Maski mają odstraszać złe duchy. Świętowanie i przemarsze zaczynają się 9 dni przed niedzielą zielonoświątkową, a kończą dwa dni po niej. Apogeum przypada na samą niedzielę zielonoświątkową.

W sklepie z pamiątkami przy Rua do Bonfim kupuję maskę jaguara (*onça pintada*) do mojej kolekcji. Kościół Naszego Pana Dobrej Śmierci (*Nosso Senhor do Bonfim*, z 1750), mały, z dwiema zgrabnymi wieżyczkami. Dokładnie z tego samego roku pochodzi niepozorny kościół Matki Boskiej z Góry Karmel, z potrójną fasadą. Obok mostu zwanego *Meia Ponte,* siedziba radców miejskich (*Câmara de Vereadores*).



Porto Alegre. Maska o twarzy Indianina.

Poniedziałek, 18 grudnia. Dalszy ciąg zwiedzania stolicy. Najpierw jezioro Paranoá, a nad nim mangowce, wysokonogie ptaki *quero-quero,* zwane w Urugwaju *tero: Vanellus chilensis*, białe czaple. Klub jachtowy po przeciwnej stronie. Potem Ambasada Polska, Pałac *Jaburu* – siedziba wiceprezydenta. Nazwa oznacza wielkiego białego ptaka z czarną głową i szyją,

takiego gigantycznego bociana (*Jabiru mycteria*); w Wenezueli zwie się *garzón soldado*. Mały, drewniany kościółek z niskimi wieżyczkami i pasem rozetek pod dachem, najstarszy w Brasílii. Zbudowany dla jej budowniczych w latach 50-tych XX. Wewnątrz świątyni Don Bosco piękne niebieskie i różowe witraże tworzą przyjemny półmrok. Ten święty włoski miał przewidzieć w 1883 powstanie tego miasta: „Między 15 a 20 równoleżnikiem, w miejscu, gdzie utworzy się jezioro, narodzi się wielka cywilizacja. To tu będzie ziemia obiecana".

Świątynia Dobrej Woli (*Templo da Boa Vontade*) ma kształt piramidy o siedmiu bokach. Na jej wierzchołku umieszczono największy kryształ znaleziony w Brazylii („piramidy są zdolne do uchwycenia i skoncentrowania w sobie pozytywnej energii"). Jest to ogólnobrazylijska siedziba tak zwanego Legionu Dobrej Woli i ze względu na swą charakterystykę ekumeniczną przyciąga wiernych różnych religii. Stanowi najczęściej odwiedzany obiekt w mieście. Galeria Sztuki Świątyni Dobrej Woli to marmurowa ściana z wypisaną na niej filozofią Ideału Dobrej Woli, autorstwa założyciela świątyni, Alzira Zarura (1914-1979). Parlamundi – Światowy Parlament Braterstwa Ekumenicznego. Mieści w sobie Międzynarodowe Forum Posiedzeń: dwa audytoria, Salę Plenarną im. José de Paiva Netto (przewodniczącego Legionu Dobrej Woli), Skrzydło Studentów z biblioteką, stołami do studiów, komputerami, Salon reprezentacyjny i restaurację. Ten zespół architektoniczny tworzy jeden rząd: obok siebie stoją

Parlamundi, siedziba Legionu Dobrej Woli w Brasílii i Świątynia Dobrej Woli.

Jonas i jego ojciec przywożą mnie w ostatniej chwili na lotnisko w Brasílii. Lot do Kurytyby dość krótki, 1366 km. Gdy z wózkiem wyładowanym bagażami stoję przy wyjściu z budynku lotniska, mijają mnie obojętnie Don Quijote, czyli Paulo Filipake (Filipiak) i Sancho Panza, czyli ksiądz Jerzy Morkis. Błądzą po budynku lotniska, aż decyduję się im ujawnić. W hotelu, gdzie mieszkał we wrześniu Dembicz z żoną jedna doba 60 reali. To nie na moją kieszeń. Telefonują do konsula, pana Marka Makowskiego, który radzi skontaktować się z Siostrą Fabiolą z Zakonu Sióstr Rodziny Marii. Na szczęście, Siostra Fabiola godzi się mnie przygarnąć. Piwo w hotelu, a potem u Filipiaka. W klasztorze miła Siostra Fabiola lokuje mnie w apartamencie za ołtarzem. Śniadania będę jadł w klasztorze, a pozostałe posiłki w polskim klubie União Juventus, co załatwi mi Paulo Filipiak.

Wtorek, 19 grudnia. Rano Siostra Fabiola wiezie mnie do Konsulatu Polskiego. Konsul radzi jechać na nagrania albo do Colônia Murici (ksiądz Józef Bestwina) – gorszy wariant, albo do Santana, 500 km na południowy zachód od Kurytyby (ksiądz Daniel Niemiec), lepszy wariant. Pierogi i placki kartoflane na obiad w União Juventus. Wieczorem kolacja u przemiłych Państwa Kawków. Dostaję w prezencie polską wersję przewodnika po stanie Paraná, w tłumaczeniu pana Kawki.

Piękne fotografie.

Środa, 20 grudnia. Z Siostra Fabiolą na dworzec autobusowy, skąd autobusem do União da Vitória. 4 godziny męczącej jazdy. Czekam jeszcze godzinę na autobus do Santana, gdzie zjawiam się o 17-tej. Na przystanku siostra polskiego pochodzenia. Kawa plus tutejszy sernik. Piękna okolica: zielone wzgórza i wyniosłe „piniory" (araukarie). W dolinie rozproszone domostwa. Prawie wszyscy mówią po polsku. Około 19-tej przyjeżdża ksiądz Daniel Niemiec, w długiej, białej sutannie. Przemiły, przystojny człowiek. Po kolacji nagranie u Zyka (Zygmunta Gajasa), 3 km stamtąd. Jego rodzice mówią ładną, staranną polszczyzną. Przy wyjściu wielka biało-czarna żaba (*sapo, Dedrobates tinctorius*).

Czwartek, 21 grudnia. O 7.30 wyjazd do Cruz Machado. Im bliżej celu, tym ładniejsze widoki: piękne doliny, a na horyzoncie malownicze góry. Nagrania z Zygmuntem Lipińskim, z babcią Iwańczukową (ponad 90 lat) i jej córką, Luisą Iwańczuk Marchal (52 lata) oraz z panią Władzią Domiańską-Otto (90 lat). Język pani Luisy oraz pani Władzi niesłychanie ciekawy i malowniczy. U pani Władzi ptaki w klatkach. Wracam do Santany i po kolacji video kasety z uroczystości lokalnych: dożynki, tańce i śpiewy ludowe. Teraz dowiaduję się, że ksiądz Daniel Niemiec umarł w 2006 (urodził się w Krzyszkowicach, powiat myślenicki, w 1924 r.).

Brazylijscy parafianie wybudowali mu piękna kaplicę, gdzie został pochowany. Istnieje też plac jego imienia.

Piątek, 22 grudnia. U pana Wróblewskiego oglądam maszyny do suszenia (*sapecadores*) i przeróbki yerby mate. Ciekawa rozmowa z Franciszkiem Kazimierzem Szymankiem z Rio do Banho. Po obiedzie powrót do Kurytyby. Na dworcu autobusowym nie ma Siostry Fabioli. Piekło! Tłum, spaliny, zgiełk. Na gapę autobusem do klasztoru Sióstr Rodziny Marii (*Irmãs da Sagrada Família de Maria*).

Recife. Garnizonowy kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia.

Sobota, 23 grudnia. Po śniadaniu czytam i piszę pamiętnik. Z prof. Reginą Przybycień idziemy na obiad do restauracji włoskiej „*Mezza Notte*”. Bystra, inteligentna i miła ta pani Regina. Zna świetnie angielski. Chce robić badania porównawcze nad literaturą emigracyjną polską w Brazylii i w Stanach Zjednoczonych. Talerz pełen różności: *palmito*, salami włoskie, różne sery, a potem lasagne. Po obiedzie Park im. Jana Pawła II i skansen polskiego budownictwa ludowego w Paranie. W sklepie u pani Danuty kupuję drewniany wazonik dla żony Nireu. Pisanki drogie. Potężny deszcz. Jedziemy do garsoniery pani Reginy.

Oglądam zdjęcia z pobytu Miodunki w Brazylii i pomagam pani Reginie wypełnić formularze w sprawie stypendium w Instytucie Badań Polonijnych w Krakowie. Przychodzi młody grubas Rogélio Piasecki. Był w Krakowie 10 lat i pod koniec pobytu założył prywatne biuro turystyczne. Jego ojciec polskiego pochodzenia, a matka, według jego własnych słów, „kundel" (*vira-latas*). Pijemy *cachaçę* i whisky.

Niedziela, 24 grudnia. Rano Mariano Kawka wiezie mnie do Colônia Murici, 25-30 km na południowy wschód od Kurytyby. O 10-tej msza polska, którą odprawia ksiądz Turbański, historyk polonijny, badacz organizacji kościelnych w Brazylii i Argentynie, 80-letni, dobrze wyglądający i bystry, dowcipny staruszek. W głównej nawie kościoła stacje Drogi Krzyżowej z napisami po polsku, a w bocznym ołtarzu Matka Boska Częstochowska. Po mszy obiad już z udziałem bardzo miłego i życzliwego księdza Józefa Bestwiny. Po obiedzie Mariano Kawka wraca do swojego Pinhais, a ja z księdzem Bestwiną jadę do małej, drewnianej kaplicy w Antinha, u stóp *Serra do Mar*, 18 km od Colônia Murici. Pagórkowaty, pofalowany krajobraz: araukarie, zagony kapusty, pola kukurydzy, pasące się konie… Msza z udziałem Polaków, ale większość to miejscowi Brazylijczycy. Ksiądz wita mnie specjalnie pod koniec mszy. Śliczna Marysia, już zamężna blondyneczka, miejscowa nauczycielka.

Odwiedzamy 80-letniego Adolfa Greboge (Grzybosia). On z żoną i

córki mówią po polsku. Przy stole gęsty rój much. Żeberka, tłusta kiełbasa, ciasto, kawa. Tradycja uroczystej wieczerzy wigilijnej nie istnieje. Adolfo pokazuje mi całe obejście: kuźnię, oborę, stodołę, sad. Na jednym z drzew, przy samym pniu, zwiędłe czarne kulki. To resztki tych wspaniałych soczystych owoców *jabuticaba* (*Myrcia cauliflora*), które jadłem nazajutrz na obiedzie u sióstr: czarne, lśniące kulki, w środku biały miąższ i jedna, dwie drobne pestki.

Pasterka – *missa do Galo* – o 22-ej. Bardzo ładna i uroczysta. Chór starszych Polaków śpiewa polskie i brazylijskie kolędy (w tym tę najbardziej znaną *Noite linda, noite bela…* – O, śliczna, prześliczna nocy…). Te brazylijskie śpiewają wszyscy. Araukarie pełnią rolę choinek. Po pasterce szampan, orzechy włoskie, migdały. Miła bardzo niespodzianka: świąteczne, gwiazdkowe prezenty od księdza Bestwiny – skarpetki i pudełko czekoladek „Nestle" (przekazałem je pani Kawczynie i jej córce). W telewizji bardzo zmęczony papież.

Poniedziałek, 25 grudnia. Przed ósmą rano jadę z księdzem Bestwiną do Malhada, 12 km od Colônia Murici. Tam o ósmej msza w dość dużym kościele. Pod koniec znów ksiądz pięknie mnie wita, a ja dziękuję po portugalsku. Po mszy nagrania rozmów z jej uczestnikami, ale kłopoty techniczne z nagrywaniem. Duszno, parno, deszcz wisi w powietrzu. W drodze powrotnej zdjęcia różowych kwiatów datury (*trombeteira,*

trombetas do Juízo Final) na szpalerze krzewów u *cabocla* (metyskiego wieśniaka) w czarnym kapeluszu. Przed obiadem u sióstr dzielimy się opłatkiem. Dopiero w Boże Narodzenie! „Oni nie bardzo wiedzą, co zrobić z tym opłatkiem", jak mówią obaj księża. Kolędy po polsku i portugalsku. Miły nastrój, świetny obiad. Od siostry Brazylijki, która dyrygowała śpiewaniem na pasterce, dostaję w prezencie taśmę z kolędami brazylijskimi. Około 14-tej odjazd do Kurytyby. Duszno straszliwie. O 18.10 pan Kawka wiezie mnie na lotnisko. Ledwie przyjechaliśmy, leje jak z cebra. Siedzimy w samochodzie dobre pół godziny. Piwo w restauracji na górze.

Na lotnisku w Porto Alegre (z Kurytyby 716 km) dwaj młodzi chłopcy z Centrum Społecznego imienia Ojca João Calábria. Noc, ale po drodze widać wielką rzekę Guaíba, która na południu tworzy ogromne jezioro Lagoa dos Patos. Jedziemy do klasztoru położonego prawie 20 km od lotniska, na przeciwległym końcu wielkiego miasta. Pokoik skromny, z prysznicem, ale WC na końcu korytarza.



Colonia del Sacramento. Urugwa.j

Wtorek, 26 grudnia. Na śniadanie ciasto, kawa, banany i… mango! Brat Noivar odwozi mnie na lotnisko w towarzystwie jakiegoś Mulata z Bahia. Po drodze kaplica Matki Boskiej Jasnogórskiej (*Capela Nossa Senhora do Monte Claro*) i krótka, lecz treściwa rozmowa z księdzem Leonem Lisiewiczem. Ustalamy datę mojego przybycia do Porto Alegre w drodze powrotnej na 17 stycznia. Przyjedzie po mnie na dworzec autobusowy taksówką. Odległość do Uruguaiana to zaledwie 634 km. Podczas lotu (jest to ostatni odcinek mojego Brasil-Pass) postój w Urugwaju, na lotnisku w Rivera: jakaś zupełna dziura

pośród z lekka pofalowanej, zielonej równiny. Tu i ówdzie małe kępy drzew, jeziorka, pasące się bydło. Z lotniska w Uruguaiana stopem (*de carona*) do miasta. Długo czekam na autobus „*circular*" do argentyńskiego Paso de Los Libres w prowincji Corrientes, po tamtej stronie rzeki Uruguay. Obserwuję bardzo malownicze stroje trzech *gaúchos*: brązowe buty z cholewami, brązowe lub niebieskie bufiaste spodnie *bombachas*, nabijane metalowymi, srebrnymi ozdobami *rastras*, czyli szerokie pasy, niebieskie koszule, niebieskie lub różowe chustki zawiązane „po harcersku" na szyi, czarne kapelusze ze sznurkiem z tyłu lub pod brodą – piękny, elegancki strój! Niestety, nie udało mi się zrobić zdjęcia!

Rozklekotanym, starym autobusem powolny objazd tego przygranicznego miasta: sklepy, sklepiki, neogotyckie kościoły, małe, dwukołowe wózki (*fretes*) ciągnione przez konie. Przejazd przez most na rzece Uruguay, Presidente Getúlio Vargas – Presidente Justo. Jak mi się wydaje, nie ma kontroli dokumentów. Wysiadam przy dworcu autobusowym (*terminal de ómnibus*) w Paso de Los Libres. Ten pierwszy kontakt z "moją" Argentyną sprawia bardzo złe wrażenie. Brud, żebrzący nachalnie mali sprzedawcy herbatników i cukierków – Indianie Guaraní z prowincji Corrientes, o bardzo śniadej cerze i przy tym bardzo brudni. W knajpce przy dworcu przez ponad pół godziny kucharka nie zdążyła przyrządzić omletu, a byłem jedynym klientem! O godz. 14-tej telefon do księdza Kudleka z Pyskowic, z

prośbą, by w Posadas wyjechał po mnie na dworzec autobusowy. Odjeżdżam o 16-tej. Obsługa autobusu niegrzeczna (fatalnie traktują bagaż i rzucają go do bagażnika), a wewnątrz ziąb. Nie skutkują moje wielokrotne prośby o zmniejszenie klimatyzacji. Po drodze brzydkie miasteczka z tymi domami – pudełkami, o opadających z jednej strony dachach. Wokół brud i błoto. Na barach napisy: *Minutas* (szybkie, barowe posiłki) i *Picolé* (płynne lody, zamrażane potem w zamrażalniku). Inny napis często się pojawiający to *Gomerías,* czyli wulkanizacja. Jedyna rzecz godna uwagi: triumfalna biała brama przy wjeździe do miasteczka Yapeyú, gdzie dom (*casa histórica*), w którym w 1778 urodził się generał José de San Martín.

Plener prowincji Corrientes to najbardziej płaska i bezkresna równina, jaką można sobie wyobrazić, z małymi kępami drzew od czasu do czasu. Rzadziej mokradła (*bañados*) i czaplarnie (*criaderos de garzas*) w najbardziej wilgotnych miejscach. Te bardziej suche wzdłuż szosy (*calzada*) okrutnie wypalone wraz z wielkimi drzewami. Stada bydła i koni. Autobus zatrzymuje się przy każdym prawie domostwie, przy każdej polnej drodze prowadzącej w głąb pampy. Objeżdża dokładnie wszystkie miasteczka: Yapeyú, La Cruz, Alvear, Santo Tomé, Virasoro. W Apóstoles mignął mi wielki napis: *Grabovieski*.

Parę minut po 22-ej wreszcie Posadas, po sześciogodzinnej podróży. Ksiądz Kudlek nie ma dla mnie locum. Po ponad

godzinnych poszukiwaniach śpię u Francisco Tarnowskiego, wiceprezesa Wspólnoty Polskiej (*Comunidad Polaca)*, przy calle Florencio Sánchez 3456. Dowiaduję się od niego, że nauka języka polskiego nikogo nie interesuje i że de facto w Polskim Klubie w Posadas nie ma żadnej działalności. Pan Dzidek Styczyński umarł tydzień temu, a wdowa po nim, Karola Szychowska, od prawie dwóch lat jest sparaliżowana i porusza się na wózku inwalidzkim. Zaiste hiobowe wieści! Takie zmiany po pięciu zaledwie latach!

Środa, 27 grudnia. Wcześnie rano budzi mnie hałas rozmów i trzask narzędzi. Francisco Tarnowski i jego robotnik budują chodnik (*veredę*) z cementu na podwórku. Po skromnym śniadaniu piszę pamiętnik. To, co wczoraj zobaczyłem i o czym się dowiedziałem, napawa mnie smutkiem. Żona Tarnowskiego, Dora Rodríguez, jest dla mnie dość miła. Ułatwiła mi kontakt z Tamarą Buss, która właśnie telefonowała. Jej ojciec, przemiły staruszek, umarł w kwietniu tego roku…

Po południu z córką Dory w centrum Posadas. Wymieniam pieniądze, zwiedzamy plac przed Zarządem Prowincji (*Casa de Gobierno*). Budynek Zarządu Prowincji to różowy, parterowy pałacyk z kolumnami. Nowa katedra niezbyt ciekawa. Na Placu San Martína jego pomnik na koniu, obok, wielki budynek prywatnego Instytutu im. Ojca Montoya (*Instituto Padre Montoya*), gdzie studia poświęcone Indianom Guaraní. Kupuję

bilet do Esperanza na jutro, na godz. 5.15. Wieczorem rozmowa z Bernardo Federico Neumannem. Uczy sztuk plastycznych na Universidad de Misiones. Trochę milszy wydał mi się ten Tarnowski, niż na początku.

Czwartek, 28 grudnia. Tarnowscy budzą mnie o 4.50. Budzik nie zadzwonił, albo byłem tak śmiertelnie znużony, że nie słyszałem. Pakuję się w popłochu. *Remise* (cóż to za słowo!), czyli tania taksówka, już czeka. Wysiadam z niej, a autobus już rusza! Podróż trwa do 10.10, czyli pięć godzin. Oglądam krajobraz: Fátima, San Ignacio Miní, Gobernador Roca, Jardín de América, Puerto Rico, Eldorado… i przysypiam często gęsto.

Po przyjeździe do Esperanza bezskutecznie usiłuję skontaktować się telefonicznie z Tamarą. Mąż jednej z pań niemiecko-szwajcarskiego pochodzenia w pobliskim biurze wiezie mnie do Tamary. Nie ma nikogo i sąsiedzi nic nie wiedzą. Jedziemy na czakrę Bussów. Rozpoznaję drogę na szosie przed Wandą. Zajeżdżamy i moim oczom ukazuje się straszny widok: pogorzelisko, zgliszcza ze sterczącym kominem pośrodku, oto, co zostało z pięknego wiejskiego domu Bussów. Spłonął doszczętnie pod koniec sierpnia tego roku, a pani Marta Bussowa, matka Tamary, w ostatniej chwili zdążyła wyskoczyć przez okno na rzucone przedtem kołdry i poduszki. Spłonęło wszystko. Ocalały tylko budynki gospodarcze i mały domek na prawo od bramy z dużymi literami R(einchold) B(uss).

Podziwiam pogodę ducha Tamary i jej matki, które serdecznie mnie witają. W całym domku unosi się zapach gotowanej kiszonej kapusty, którą niedługo potem jemy na obiad z jakąś kiełbasą i kluskami. Po obiedzie, wstrząśnięty, wysłuchuję opowieści Tamary. Po kąpieli próbuję spać, ale po dwóch godzinach budzę się zlany potem. Pani Bussowa zaprasza na kawę i ciasto. Wręczam jej opoczyński bieżnik i serwetki. Tamara i jej antypatyczny mąż niemiecko-paragwajskiego pochodzenia wypuszczają krowy na pastwisko. Mają teraz 80 sztuk. 27 ukradli im niedawno. Na horyzoncie piękna misjoneńska dżungla. Jedziemy do polskich sióstr do Wandy (Zakon Dominikanek Misyjnych, z główną siedzibą w Zielonce pod Warszawą). Miła rozmowa z siostrą Asuntą i z młodszą Maksimilianą. Jutro o 17-tej u nich wieczór kolęd. Zapraszają. Ich sąsiad, pan Kazimierz, odwozi mnie do opuszczonego domostwa Bussów. Mówi po polsku, ale po tutejszemu, z trudnościami. Nauczył się od matki. Mówi, że mąż Tamary to drań i że rodzina chciała upiec panią Bussową, żeby otrzymać spadek. Ona boi się tu spać, śpi u syna. Nie dziwię się jej. Cisza wokół bezmierna, z cykaniem insektów, przerywana wyciem nocnego ptaka *urutaú,* szczekaniem psów i podejrzanymi trzaskami. Z duszą na obu ramionach idę spać.

S. Luís do Maranhão. Fontanna Ribeirão.

Piątek, 29 grudnia. Przed obiadem rozmowa z panem Jeleniem i jego żoną pochodzącą z Cerro Azul, w tej samej prowincji Misiones. Mieszkają tuż koło najstarszego, drewnianego kościółka w Wandzie, gdzie ksiądz Zimny odprawiał msze. Obiad z panią Bussową, córką Tamary Letycją i służącą Metyską guarańską. Po obiedzie, za ogrodzeniem mignęła mi saracura (*Aramides saracura*), duży brązowo-szary ptak o wysokich, czerwonych nogach i czerwonych oczach. Nagranie u pani Jejerowej z Firków, spod Włodzimierza Wołyńskiego. Potem wieczór kolęd u sióstr w Wandzie. Jest Konertowa i Krzynówkowa, między innymi. Razem około 25 osób. Pełno ciast, musujący napój alkoholowy z ananasów i sidra. Umawiam się na jutro z panem Stefanem Firką i jego młodszym bratem. Pan Stefan z żoną odwożą mnie na Bussowe pustkowie.

Sobota, 30 grudnia. Rano pan Stefan Firka wiezie mnie do pana Jana Welcza. Nagrywam w jego wielkim domu na skraju Wandy. Później przychodzi jego żona, Maria Kisiel spod Grodna. Przed 12-tą na obiad do państwa Firków. Żona pana Stefana, pani Wanda Orzeł, urodziła się w Puerto Wanda w 1939. Mają ośmioro dzieci. Ich domek stoi nad rzeką Tupicuá, wśród wielkich sosen kanadyjskich. Po obiedzie straszny upał i *modorra*, maksymalne znużenie. Nagranie nieudane, niestety! A szkoda, bo pani Wanda ciekawie opowiadała o zabijaniu węży, a pan Stefan, o muzeum zoologicznym pana Chudego w Lanusach i w Parku Regionalnym *Uruguaí*. Ładnie opisywali mi niektóre

zwierzęta, na przykład, „mrówkowiada”. O zmierzchu spacer nad Tupicuá. Teraz, po kąpieli, siedzę i piszę, a pot leje się ze mnie ciurkiem (o godz. 22.10 !!!).

Niedziela, 31 grudnia. Całe przedpołudnie przesiedziałem u pani Bussowej i dopiero po sjeście poobiedniej jedziemy wszyscy do państwa Korżaków do Wandy. Pochodzą ze wsi Babice pod Biłgorajem i są Ukraińcami (ona jest siostrą Konertowej). Mówią dobrze po polsku. Pani Korżakowa prawie cały czas prowadzi dialog po polsku z panią Bussową. Nie wiedziałem, że doña Marta aż tak dobrze radzi sobie po polsku. Mnóstwo jadła i napojów: kanapki, pizza z jakimś pomarańczowym smalcem, whisky, piwo bezalkoholowe i sidra. W tej chwili odleciał z krzykiem *urutaú*, który przedtem smętnie zawodził: „Oj, joj, joj, joj, joj, jak mnie boli!” (wymawiać śpiewnie i wolno). Przyznam, że takie zawodzenie, gdy się siedzi w pustym domu o godz. 21. 45, brzmi nieco niepokojąco… Otóż ptak ten nie odleciał i nadal zawodzi niemal ludzkim głosem!

Śpiewaliśmy u państwa Korżaków po polsku, rosyjsku i ukraińsku. Było miło. Kupuję bilet na pojutrze do Bujnesu (Buenos Aires). Wyjazd o 13-tej z Wandy. W Bujnesie będę około 8-ej rano następnego dnia, czyli we wtorek, 3 stycznia. Podwożą mnie do pana Władysława Firki, gdzie spędzę wesoło i przyjemnie cały wieczór sylwestrowy, aż do drugiej nad ranem. Pani Firkowa wita mnie serdecznie. Podziwiam piękny, duży dom

i ogród z ciekawą roślinnością: *catalpa bignonioides* o szerokich, wielkich liściach, kamelie, filodendrony, tung z orzechami. Poznaję całą urodziwą rodzinę: czterech synów z żonami i dziećmi i niezamężną córkę. Bardzo kulturalnie i miło. Piwo, wino białe, sidra, świetne ciastka (*masitas*). Śpiewam, tańczę, wygłupiam się. Tylko pan Ladislao dotrzymuje mi kroku. Rysio i jego śliczna *morocha* (brunetka), cóż za piękna para! Oboje, a także Rubén interesują się polskim kinem i dużo o nim wiedzą. Niestety, straszne nieszczęście miało miejsce kilka lat później: Rysio i jego żona zginęli w wypadku samochodowym. Tragedia nie do opisania!

O północy straszny huk, strzały, sztuczne ognie, rakiety. Dzieci budzą się z płaczem, psy wystraszone nie wiedzą, co się dzieje… A ja myślałem naiwnie, że w takiej Wandzie będzie spokojnie. Pan Władysław odwozi mnie na Bussowe pustkowie i umawiamy się na ósmą rano nazajutrz na wycieczkę do wodospadów Iguazú.

Poniedziałek, 1 stycznia 1996. Pan Władysław przyjechał bardzo punktualnie, ale ja jeszcze piorę w łazience. W efekcie wyjeżdżamy o 8.30 i za pół godziny jesteśmy w Parku Narodowym Iguazú. To tylko 35 km. Już jest gorąco. Idziemy ścieżką górną – jako tako, ale na dolnej, koło wodospadu Dwie Siostry (*Dos Hermanas*), zaczyna się upał nie do zniesienia: koszula do wyżęcia. Zdejmuję i chodzę już do końca bez koszuli.

Fotografuję. Przy punkcie widokowym z palmami na pierwszym planie, stadko 4-5 ostronosów (*coatíes*), śliczne zwierzątka, na wpół oswojone. Zaczyna się najciekawsza partia: wodospady Bozzetti i San Martín. Pył wodny. Ogromne zwały wody. Kupiłem kartkę dla Ojca Augustyna Zimnego i papierosy „Particulares". Nad nami piękna niebiesko-żółta *urraca* (*Cyanocorax chrysops*) odpędzana przez dwa szare ptaki z ich terenu. Przedtem, na górnej ścieżce, śmignął nad potokiem cudowny niebieski ptak z długim ogonem, zwany *bailarín azul* (*Chiroxiphia caudata*), czyli "niebieski tancerz" i trzy wrzeszczące zielone papugi. Obsypane ognistymi kwiatami tropikalne akacje, zwane w Argentynie *chivatos i ambay* (*Cecropia adenopus*), który na Kubie zwie się *yagruma*, o wielkich palczastych, białych u dołu liściach, filodendron oplatający wokół pień jakiegoś drzewa, to okazy flory, które zwróciły moją uwagę.

S. Luís do Maranhão. Kamienica wyłożona kafelkami.

Odjeżdżamy tuż przed godziną 13-tą, a więc byliśmy przy wodospadach prawie cztery godziny. Wystarczy. Dziś upał przeszedł samego siebie. Rozpalonym samochodem, rozpaloną szosą jedziemy przez rozgotowaną w słońcu puszczę misjoneńską do Puerto Libertad, tuż przed Wandą. Aleją ovenii (*Hovenia dulcis*) dojeżdżamy do pełnej wirów Parany. Po paragwajskiej

stronie domki na wysokim brzegu. To Puerto Irala. Na czystej – o dziwo! – wodzie tej bardzo głębokiej rzeki (ponad 80 m) kolebią się małe stateczki, które przewożą ludzi z Argentyny do Paragwaju i vice-versa. Jeszcze pod górę bardzo kiepską drogą i docieramy do *„capilla histórica”* (historycznej kaplicy) z cudowną Matką Boską z Itatí, patronką Corrientes, przy drzwiach głównych. Ociekam potem i mój podziw dla ludzi, którzy tu przyjechali z Europy, żeby wyrąbać kawał puszczy i mieszkać w tym piekle, osiąga swoje apogeum. Pod wieczór spacer z panią Martą Bussową do domu jej syna Dago (Dagoberta), lekarza w Eldorado. Ona tam chodzi spać.

Wtorek, 2 stycznia 1996. Podróż do Bujnesu – 17 godzin. Odległość: 1370 km. Postoje: San Ignacio Miní, Paso de Los Libres (kolacja: kotlet panierowany z cielęciny, puré z kartofli, piwo), Concordia.

Środa, 3 stycznia. Przyjeżdżam do Bujnesu o 8.30 rano. Za godzinę pojawia się pan Franio i taksówką jedziemy do niego na ulicę Sarmiento. Gorąco strasznie. Nie mogę zasnąć mimo zmęczenia. Po południu do Akademii (żargonu) Lunfardo. José Gobello zaprasza na jutro na kolację, w towarzystwie Amerykanina Simona Colliera, autora monumentalnej monografii o tangu, za jedyne 96 dolarów! Spacer do Avenida de Mayo i potem aż do Różowego Domu (*Casa Rosada*), na Plaza de Mayo, gdzie gwałtowna burza i ulewa wpędzają mnie do metra.

Czwartek, 4 stycznia. Rano Ambasada RP. Rozmowa z Leszkiem Hyjkiem i z Czubą. Kawa. Stiuki w hallu. Instytut San Martína (*Instituto Sanmartiniano*), kopia Grand- Bourg pod Paryżem, gdzie San Martín mieszkał pod koniec życia. Plac Chile z pomnikami O'Higginsa, Gabrieli Mistral i Pabla Nerudy. Ponownie stado pięknych psów prowadzonych przez młode dziewczę. Obiad u pana Frania w towarzystwie pani Ireny Żelazek, która opowiada o swojej wycieczce do wodospadów Iguazú. Spacer ulicą Suipacha w stronę Muzeum sztuki Hispanoamerykańskiej im. Isaaca Fernándeza Blanco. Stylowy, neokolonialny pałac z mauretańskim drewnianym balkonem i eleganckim portalem z salomonowymi kolumnami, wybudowany w latach 20-tych XX (architekt Martín Noel). Potem do Alei 9 Lipca i metrem do Academia Porteña del Lunfardo, gdzie Simon Collier już czeka. Sześć kwadr ulicą Santiago del Estero i oto *Ristorante Italiano „Rosano"*, gdzie znakomite czerwone wino i twardy befsztyk. Gadu, gadu o Menemie i Evicie. Gobello spotkał się z nią, gdy była już chora i *cadavérica* (o trupim wyglądzie), ale zrobiła na nim ogromne wrażenie. Pieszo do pana Frania. Potężny kawał.

Piątek, 5 stycznia. Wymieniam pieniądze w rejonie ulicy San Martín. W Buquebus w alei Córdoba informuję się co do rozkładu jazdy statków do Urugwaju. Chcę płynąć w niedzielę, 14 stycznia, o 8.45. Bulwar południowy nad La Platą (*Costanera Sur* i fontanna Nereidy (*Las Nereidas*), z pięknymi rzeźbami, których

autorką jest Lola Mora. Autobusem 4 do Constitución, a stamtąd na Plac Włoski (*Plaza Italia*) z romantycznym pomnikiem Garibaldiego na koniu. W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów na ulicy Serrano 1818, prezes pan Franio. Rozmowa z panem Spałą z Łodzi. Bliżej Placu Włoskiego, w kawiarni Domu Polskiego, pan Stachura i pan Zygmunt Borkowski, który właśnie wrócił z Polski.

Sobota, 6 stycznia. Autobusem 68 do dzielnicy Belgrano, za Plaza Italia. Przy ulicy Juramento 2291 Muzeum Sztuki Hiszpańskiej im. Enrique Larreta (*Museo de Arte Español Enrique Larreta)* w pałacyku w stylu neokolonialnym z drugiej połowy XIX. Zamknięte w styczniu. Na nic próby nakłonienia stróża, by mi pozwolił je obejrzeć. Po drugiej stronie ulicy, Muzeum Sarmiento (*Casa Histórica Museo de Sarmiento*) w domu z kolumnami i wieżą zegarową, w remoncie. Ulicą Anchorena do Las Heras. Przecinam Aleję Wyzwoliciela (*Av. Libertador*) i po raz drugi zwiedzam Muzeum Motywów Argentyńskich im. José Hernándeza (*Museo de Motivos Argentinos José Hernández*): srebrne noże, naczynia do picia mate i sztuka ludowa – poncza, ceramika, wyposażenie sklepików wiejskich.

Aleją Wyzwoliciela do Placu Urugwaju, gdzie pomnik Artigasa w ponczo. Muzeum Sztuk Pięknych, Paseo de Las Recoletas. Centrum Kulturalne z wystawą jakichś wydumanych

awangardowych malowideł (c*ronopios*). Dalej, piękna kolonialna Bazylika Matki Boskiej z Kolumny (*Basílica del Pilar*), XVIII. Ogromne drzewo *ombú* (*Phytolacca dioica*), "Café de la Paix", mimy, pierroty. Ulicą Quintana. Kupuję *La novela de Perón* Tomása Eloya Martíneza. Juncal 1224, czyli adres występujący w słynnym tangu „W półmroku" (*A media luz*) – nowa, nieciekawa wielopiętrowa budowla. Aleja Santa Fé, Talcahuano, Corrientes – na rogu wspaniała księgarnia „Fausto". Dalej ulicą Talcahuano i restauracja „Los Teatros" pod nr 324: cudowna, wielka, ściany obwieszone portretami aktorów argentyńskich z I połowy XX: Lola Membrives, Adolfo Vacarezza… I jeden, dwa stoliki zajęte na całą wielką salę. Tak jest wszędzie. Piękne lokale świecą pustkami. Przed Corrientes, wzdłuż Talcahuano, wielki skwer na tyłach Teatro Colón, który zwiedzam w środku – niesłychanie elegancki, wręcz wytworny, kolumna z pomnikiem generała Juana Lavalle (1797-1841) i Pałac Sprawiedliwości. Restauracja „Pichuco" (na cześć słynnego bandoneonisty Aníbala Troilo), przy Talcahuano 250, już nie istnieje.

Niedziela, 7 stycznia. Msza o 11-tej w kościele polskim pod wezwaniem Matki Boskiej z Guadalupe, na ulicy Mansilla. Pan Franio należy do chóru, który śpiewa kolędy po polsku. Mszę odprawia Doctor Faustus, czyli ksiądz Ksawery Solecki. Jest pan Grabia-Jałbrzykowski. Po mszy spacerkiem do Stowarzyszenia „Ognisko Polskie" (*Hogar Polaco*) na ulicy Gorriti 3972, gdzie obiad z opłatkiem. Długie dzielenie się, potem ryba – łosoś à la

karp po grecku, świetna, bitki wołowe, lody, kawa, ciastka, wino argentyńskie czerwone i białe, dużo piwa. Wracam spocony i krańcowo zmęczony. Śpię prawie 12 godzin!



La Plata. Muzeum.

Poniedziałek, 8 stycznia. O 13.30 na Plaza Constitución metrem, a stamtąd o 14.30 pociągiem do La Platy. Pociąg przedpotopowy: małe okienka, ciasno stojące ławki pokryte brązową skórą, z przesuwanymi do tyłu lub do przodu oparciami.

Zaraz za Constitución ponure przedmieścia: małe, brzydkie domy, sklecone z desek i dykty baraki, góry śmieci wszędzie wzdłuż toru i na piaszczystych ulicach. Co jakiś czas przecinamy szerokie kanały-rzeki z czarną wodą, pełne jakichś pływających wysepek. Potem miasteczka: Quilmes, Berazategui, Villa Elisa, City Bell. Równiny jak okiem sięgnąć i pasące się konie i krowy. Dopiero przed 17-tą docieram do imponującego gmachu Muzeum w La Plata, pośród wyschniętego na pieprz parku. Upał straszny. Po drodze do Muzeum dwa piękne pałace po obu stronach wielkiego, przestronnego placu: Zarząd Prowincji (*Casa de Gobierno*) i ratusz (*Municipalidad*). W należącym do miejscowego uniwersytetu Muzeum oglądam szkielety przedpotopowych zwierząt, wypchane zwierzęta i ptaki (głównie amerykańskie): tapir (*anta*) z ludzkim prąciem pod brzuchem, pancerniki, kapibary (*carpinchos*), jadowity wąż żararaka urutu (*Bothrops alternatus*). Po godzinie wychodzę i na schodach, gdzie po obu stronach przedpotopowe lwy-jaguary ze szpadami kłów w paszczach, podbiega do mnie pan Karczmarczyk, sekretarz Związku Polaków w Berisso, a za nim prezes, Stanisław Wojtaszyk z Krotoszyna. Krótki objazd La Platy – neogotycka katedra z blado czerwonej cegły, w stylu europejskim, ogromna! 10 km od La Platy, Berisso, gdzie w wielkim „*galponie*” (pawilonie) siedziba Związku Polaków: sztandary, stare fotografie członków baletu „Poznań – Przyjaciel”.

Kolacja: czarne piwo, szynka, ser, zimne nogi (tłuste!), ogórki, buraczki. Kolędy i *La lunita de Tucumán* (Księżyc z Tucumán), którą wyśpiewuje głównie zaprzyjaźniony z Polakami García. Nagrywam w sekretariacie z panią Marią Makowiecką, z województwa tarnopolskiego. Śpię tamże na deskach pochlapanych białą farbą i materacu z pościelą, które przytargał pan Karczmarczyk. Bardzo „pokąsali mnie moszkity", jak nazajutrz stwierdziła pani Makowiecka.

Wtorek, 9 stycznia. Pani Makowiecka przychodzi już o 7.15. Przyrządza mate i kroi ciasto. Idziemy do pani Krystyny i jej męża. Oboje są z Wrocławia. On przyjechał w 1975, a ona w 1984. Przychodzi pani Modlińska-Drągowska z Sokół, z którą krótkie nagranie. Autobusem do Punta Lara. Autobus kluczy po uliczkach Berisso i Ensenady. Wreszcie campingi i dość eleganckie kluby jachtowe nad czekoladową La Platą. Brudny, czarny piach plaży. Mimo to parę odważnych osób opala się na tym czymś, a nawet kąpie się w tym czymś. Nieprzyjemny żar z nieba. W dali na wschodzie 9 statków na redzie.



Montevideo. Katedra.

Autobusem do La Platy. Po drodze, w Ensenada, dziewiętnastowieczny fort Barragán. W barze przy dworcu kanapka z befsztykiem z cielęciny i coca-cola. Wlokę się w upał do Muzeum, by obejrzeć przede wszystkim dział archeologiczny i etnograficzny. Robię dokładne notatki. Siedzę w Muzeum od 13.30 do 18-tej. O 18.45 pociągiem do Bujnesu. Nieco chłodniej. Constitución …

Środa, 10 stycznia. Kupuję bilet na prom do Colonia del Sacramento w Urugwaju, na 8.45 w przyszłą niedzielę, 14

stycznia. Ulicą Maipú do Victory Hotel, gdzie we wrześniu 1973 mieszkałem z Rosario. Teraz pokój ze śniadaniem kosztuje 62 pesos. Plac San Martína i piękny pomnik generała z czerwonego marmuru i brązu. Wielkie *ombú*. Ulica Florida. Przy Corrientes wsiadam w metro. Po obiedzie ulicą Corrientes w stronę Obelisku. Księgarnie, sklepy muzyczne. Odnajduję taśmę za 11 pesos z Aníbalem Troilo i "Del barrio de las latas" (Z dzielnicy slumsów). Tak, Gobello miał rację: to właśnie to tango tak źle mi się nagrało na spektaklu w „El Viejo Almacén" w 1973. Księgarnia „Gandhi" i cudowne książki. Teatro Municipal San Martín mieści się w bardzo wysokim, oszklonym budynku wzniesionym w latach 1954-1960. La Plaza to kompleks restauracji, kawiarenek, dwie sale widowiskowe, pomosty, ławki, drzewka, między ulicami Corrientes, Montevideo i Sarmiento. Ulicą Montevideo do Plaza del Congreso, gdzie „Myśliciel" Rodina, pomnik Mariano Moreno (1778-1811, przywódca argentyńskiego ruchu niepodległościowego), mnóstwo gołębi, fontanna z basenem, który symbolizuje rzekę La Plata i jej dwa dopływy, Paranę i Urugwaj, pomnik obu Kongresów: Zgromadzenia z 1813, które obaliło niewolnictwo i Kongresu w Tucumán, który ogłosił niepodległość 9 lipca 1816. Republika opiera swą lewą rękę na pługu, symbolu pracy i trzyma w prawej ręce gałązkę wawrzynu, symbolizującą sławę.



Montevideo.

Maurowie Dzwonnicy na wieżyczce Kasy Narodowej, replika Maurów z wieży zegarowej w Wenecji. Pałac Kongresu (1908) jest siedzibą władzy ustawodawczej. Wybudowany w stylu grecko-rzymskim (kolumny, kariatydy), wielkie schody, nad wejściem głównym brązowa kwadryga i miedziana kopuła ozdobiona rytami, 85 m wysokości. Dzieło architekta włoskiego Victora Meano. Pomnik Obu Kongresów jest piękny, godny najpiękniejszych miast świata. Niestety, barbarzyńskie napisy w rodzaju: „Anarchia", „Patrioci = idioci" są wymownym świadectwem moralnego upadku współczesnej Argentyny. Cukiernia „Pod Młynem" (*Confitería del Molino*) to wspaniały niegdyś salon. Wewnątrz witraże i malowidła sufitu w stylu retro (*art nouveau*). Teraz pusta i brudna. W szklanych gablotach torty i ciastka, jak w jakiejś restauracji dworcowej. Przy dwóch stolikach zaiste mało wytworne towarzystwo popija coca-colę. Upał straszliwy. Małe dzieci kąpią się w żółtej wodzie fontanny. Po lewej stronie, przy schodach prowadzących na pomnik Obu Kongresów, monolit z tablicą z okazji Milenium Polski 966-1966. Na placu, w lewym rogu, znów potężne *ombú* (niestety, już barbarzyńsko wycięte).

Czwartek, 11 stycznia. Dziś była najkoszmarniejsza noc – 28 stopni i całkowity bezruch powietrza. Obudziłem się zlany potem. Poduszka cała mokra. Pada. O 14.30 metrem do Lacroze. Przed budynkiem dworca kolejowego (kolej prowadzi do Campo de Mayo, na północny zachód od stolicy) biały łuk bramy cmentarza

Chacaritas. Pół godziny jazdy pociągiem, bardziej nowoczesnym, niż do La Platy i wysiadam w Pablo Podestá, za Martín Coronado. Pada dość mocno. Klasztor Ojców Bernardynów (tu: Franciszkanów), założony przez Ojca Maciaszka, stąd wśród Polaków nazywany jest Maciaszkowo. Wita mnie bardzo miły ksiądz Piotr Kotyła i zaprasza na podwieczorek z winem. Zwiedzamy szkołę (herby województw polskich, w tym kijowskiego i trockiego) i bibliotekę. Prowadzą szkółkę sobotnią języka polskiego (18 uczniów) plus harcerstwo (około 30 osób). W „Domu Spokojnej Starości" (około 30 osób) nagrywam trzy ciekawe rozmowy: ze Stanisławem Kosińskim, z Michałem Grzegorczykiem i z dr Zbigniewem Neuhoffem – piękna polszczyzna i ciekawe opowieści! Na koniec spotkanie z wesołym, miłym księdzem Wróblem. Zna Misiones, pisze pracę o duszpasterstwie polskim w Argentynie. Po kolacji ksiądz Wróbel odprowadza mnie na stację. Autobusem 71 do pana Frania. Bardzo udane popołudnie i wieczór.

Piątek, 12 stycznia. Mniej udany dzień. Rano elegancki supermarket „Coto", niedaleko pana Frania. Przy Rivadavia kupuję aluminiowe mate z bombillą, a w sklepie z pamiątkami na calle Azcuénaga ceramiczny inkaski kubek (*kero*), naczynie z ozdobionej nacięciami tykwy do picia mate (*mate burilado*) i lalkę – gaucha o bardzo dzikim spojrzeniu.

Po obiedzie poczta, wymiana pieniędzy w Casa Piana na San

Martín. Na ulicy Florida, w bardzo szykownej i czystej, o dziwo, *Galería Pacífico* (local *Tatú*), kupuję małe, gliniane „presépio” (szopkę) dla Luite, wykonane przez „ludzi z Północy”. Po kąpieli hotel „Alvear Palace Hotel” i spotkanie z Horacio Ferrerem. Niezbyt miłe robi na mnie wrażenie. Siedzimy w hallu hotelowym. Piję w popłochu piwo, robię notatki o *Academia Nacional del Tango* (Narodowej Akademii Tanga). Bilety na spektakle w „Homero” w dzielnicy Palermo i „Tango Mío” w La Boca po 30 i 50 pesów. Bagatela! Parę lat później przyjechał do Polski ze spektaklem *María de Buenos Aires* (Maria z Buenos Aires), muzyka Astora Piazzoli, libretto samego Ferrera, który śpiewał także jedną z głównych partii. Ulicą Ayacucho do Corrientes. Po drodze ten wspaniały gmach wodociągów (*Aguas Argentinas*) przy Av. Córdoba i Ayacucho. Masywny i bardzo ozdobny. Wałęsam się po Corrientes. Ponownie księgarnia „Gandhi”, a potem „Fausto”. Blisko Obelisku sklep muzyczny, elegancki, z piękną muzyką i pokazem tanga w telewizji. Tańczy kilka par: nieprawdopodobnie oplatają się wzajem nogami i drobią w miejscu to jedną, to drugą nogą. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Pan Franio bardzo śmiesznie to naśladował dzisiaj w kuchni, mało nie rozwalił szafki nogą. On nie znosi tanga.

Sobota, 13 stycznia. Ostatni dzień w Bujnesie. Rano leje. Porządkuję nagrania z Martín Coronado. Ostatnia rozmowa z kuzynką. Metrem na Plac Majowy (*Plaza de Mayo*) i w najbliższej jego okolicy oglądam cały szereg obiektów. A więc pomnik Julio

Argentino Roca na koniu, wodza smutnej sławy Ekspedycji na Pustynię (1880), podczas której wytępiono Indian. Jego autorem jest urugwajski rzeźbiarz José Zorrilla de San Martín (1891-1975). – Gmach Czcigodnej Rady Miejskiej (*Honorable Concejo Deliberante*), 1933. Na wysokiej wieży zegar z kurantem. – Czworobok Świateł (*Manzana de las Luces*) z Prokuraturą Misji, dawną Salą Reprezentantów i Uniwersytetem. Cały ten Czworobok stanowi Narodowy Zabytek Historyczny. – Cudowny kościół Św. Ignacego, 1713, jezuicki. Jedyna fasada barokowa w Buenos Aires, niezwykle elegancka. Wewnątrz ładne ołtarze. Jeden, z prawej strony, spalony od tyłu. Także posągi dwóch aniołów, stojące obok, spalone od pasa w dół w 1955, za czasów Peróna. W innym bocznym ołtarzu po prawej stronie, rzeźby wykonane przez Indian. Oprowadza mnie kościelny, opowiada o pożarze, zapala światła, a przy wyjściu kategorycznie odmawia przyjęcia zapłaty. Zdumiewające wśród „porteños" (mieszkańców Buenos Aires)!

Elegancki gmach szkoły państwowej (*Colegio Nacional*), 1908. – Bazylika Św. Franciszka, 1725. W 1911 eklektyczna fasada z nawiązaniem do baroku. Jeden ołtarz boczny z XVIII, reszta z 1911. Ołtarz główny spłonął w 1955. Jego przednią osłonę i wielkie kandelabry wyrzeźbiono i polichromowano w Buenos Aires w XVIII. Wnętrze Kaplicy Św. Rocha (1751) wraz z ołtarzami spalono w 1955. – Muzeum Miasta (*Museo de la Ciudad*), przy Alsina 412, jednopiętrowy budynek z dawną apteką

De la Estrella, 1900. Eksponaty przedstawiają tradycje oraz rozwój architektoniczny i urbanistyczny miasta. – Przy Alsina 463 dom Marii Josefy Ezcurra (1834), szwagierki dyktatora Juana Manuela de Rosas. Obecnie ruina. Ciekawe drewniane ozdoby nad oknami bez szyb. Na dachu krzaki. – Bank Boston, 1924 – nad wejściem ozdoby w stylu plateresco, zainspirowane szpitalem Santa Cruz w Toledo. – Pomnik prezydenta Roque Saenz Peña, 1936, dzieło rzeźbiarza o nazwisku Fioravanti.

Dalej, elegancki Pałac Miejski (*Palacio Municipal*), 1902, siedziba urzędu administracyjnego miasta. Wybudowany na terenach oferowanych generałowi San Martínowi po jego zwycięskich kampaniach. – Piramida Majowa, 1912. Stoi na środku Placu Majowego, a we wnętrzu skrywa pierwszą Piramidę z roku 1811, którą wykonano w pierwszą rocznicę Rewolucji Majowej z 1810. – Pomnik generała Manuela Belgrano, 1873, twórcy flagi narodowej. – Elegancki, potężny gmach Banku Narodu Argentyńskiego, 1924, w stylu neoklasycznym. – Pomnik Juana de Garay, założyciela miasta w 1580. Postawiony w 1915. – Dom Rządowy (*Casa Rosada)*, 1873. Na tym miejscu stała pierwsza forteca i Dom Wicekrólów. Gmach w stylu włoskim. – Dziedziniec Manewrów Nowej Komory Celnej (*Patio de Maniobras de la Aduana Nueva*), 1850-1858, dzieło Eduardo Taylora. Wyburzony w 1894, z wyjątkiem parteru, który znalazł się pod Placem Kolumba. W 1983 odkryto Dziedziniec Manewrów, gdzie ładowano towary.



Villa Elisa. Most.

Park im. Kolumba, dawne miejsce Komory Celnej Taylora. Jego półkolisty kształt przypomina dawny kształt budynku. Pośrodku, pomnik Krzysztofa Kolumba, który wskazuje na Wschód, w kierunku Europy. U stóp Kolumba grupa monumentalnych rzeźb postaci o dramatycznym wyrazie twarzy. – Spacer *Paseo Colón* (Aleją Kolumba) aż do Alei Niepodległości (*Independencia*). Po drodze wielki gmach Ministerstwa Wojska (*Ministerio del Ejército*). Na trawniku Diana z Wersalu i inne posągi klasyczne. – Przy Belgrano, *Teatro Colonial*. Dalej, *El Viejo Almacén*, przy Independencia y Balcarce: mały, biały domeczek, gdzie w 1973

podziwialiśmy cudownych wykonawców tang: Aníbala Troilo (1914-1975), Edmundo Rivero (1912-1986) i innych. Zapowiadał wówczas Horacio Ferrer. Wydaje się, że ten lokal mocno obniżył loty ostatnimi czasy.

Ładne kamieniczki na calle Chuffra, którą dochodzę do pięknego Pomnika Pracy (*Monumento al Trabajo*), 1907, dzieła Rogelio Yrurtia (1879-1950) – pochód nagich postaci płci obojga, a z tyłu kilka osób ciągnie uwiązany na linie wielki kamień. Autobusem do Retiro, a stamtąd do Muzeum Sztuki Hispanoamerykańskiej im. Isaaca Fernándeza Blanco, na ulicy Suipacha 1422. Na dziedzińcu, pod gołym niebem, piękny i doskonały aktorsko spektakl „Borges Buenos Aires", na bazie tekstów i poematów J. L. Borgesa. Trudne teksty, ale świetnie recytowane. Oprócz tego, kapitalnie tańczone tanga i śpiewy (*Yo soy morocha argentina*). Zaiste, piękny finał pobytu w Buenos Aires. Spod Wieży Anglików autobusem 115 do pana Frania, który już śpi.

Niedziela, 14 stycznia. Rano taksówką do *Dársena Sur* (Dok Południowy), Pedro de Mendoza róg Brasil. Dwie ogromne kolejki:

1. a) do uiszczenia opłaty wyjazdowej i oddania bagażu,
2. b) do kontroli paszportowej i tu okazuje się, że muszę zapłacić aż 50 dolarów za „nielegalne przekroczenie granicy" w Paso de Los Libres i brak pieczątki kontroli granicznej.

Płacę z ogromnym bólem serca.

Na pokładzie urugwajskiego promu „Eladia Isabel”, tłumy. Wszyscy się fotografują. Kanałem koło słynnego dźwigu na Riachuelo w La Boca wypływamy na bezkresną, czekoladową La Platę. Maleją na widnokręgu wieżowce Królowej La Platy. Kłębią się w głowie różne myśli na koniec etapu argentyńskiego mojej podróży. Czy wrócę tu jeszcze kiedyś? Chyba będzie trudno. Podróż trwa 3 godziny. Przede mną nieznany zupełnie Urugwaj. U jego brzegów szereg małych wysepek otoczonych czarnymi skałkami. Jakieś smutne te wyspy. I oto zielona, bardzo zadrzewiona Colonia del Sacramento, położona na cyplu. Ulice wznoszą się i opadają na stoku wzgórza. Fragmenty murów obronnych. Z przystani wlokę się z bagażem do miasta. Na głównej ulicy Generała Floresa 440 kupuję bilet do Montevideo, zostawiam bagaż i jem skromny obiad.

Nic prawie nie zostało z obecności Portugalczyków, którzy założyli Colônia do Sacramento w 1680 (Maestre de campo, Don Manuel Lobo). To najstarsze miasto Urugwaju. Dwa skromne domki w stylu portugalskim: Muzeum Portugalskie i Muzeum Kafelków, parę w stylu hiszpańskim. Najbardziej hiszpańskie jest *Museo Español.* Oryginalny bruk (*en cuña*). Ruina kościoła Św. Franciszka (1683-1704) przy latarni morskiej i ruina Domu Wicekróla (mury, obramowania drzwi i okien, kamienne łuki i bruk). Polna Brama (*Portón de Campo*), wzniesiona w 1745, za

czasów portugalskiego gubernatora Vasconcellos, most zwodzony nad fosą, ulica Westchnień (*calle de Los Suspiros*), Dom Nacarello, także z okresu portugalskiego, Archiwum Regionalne – dom pierwotnie portugalski, Bastion Matki Boskiej z Góry Karmel – część murów obronnych. Najstarszy w Urugwaju kościół parafialny, 1680, kamienny; dwie grube kolumny i atrium pochodzą z okresu portugalskiego. W ołtarzu obraz patronki Urugwaju, Matki Boskiej Trzydziestu Trzech (Urugwajczyków, którzy walczyli o niepodległość z generałem Riverą na czele). Wielka monstrancja w ołtarzu głównym i parę starych malowideł i rzeźb.

Przed kościołem i w środku wycieczki, tłumy turystów, którzy przyjeżdżają tu jak do Mekki, choć z punktu widzenia artystycznego nie jest to nadzwyczajne. Większość kamieniczek to bezstylowe domki z płaskim dachem, a te najstarsze, wymienione wyżej, to albo ruiny, albo skromniuśkie domki, często odrestaurowane (Muzeum Kafelków). Wszędzie pozakładano jednakowe żółte lampiony, latarnie na ścianach domów, co w połączeniu z ogromną ilością sklepów z pamiątkami wywołuje pewien specyficzny nastrój. Ludzie przeświadczeni są, że to nadzwyczajne miejsce. Oglądam pięć otwartych muzeów. Miejskie (dom Admirała Browna), którego budynek pochodzi także z okresu portugalskiego, ale w okresie hiszpańskim uległ transformacji. Jest tu wszystko, zbiory typowo amatorskie. Zapamiętałem przedpotopowe pancerniki. Poza tym widziałem

Dom Nacarello, Archiwum Regionalne, Muzeum Kafelków (wiszą na ścianach kafelki francuskie, walencjańskie i neapolitańskie z XIX i XX, stosowane w budownictwie w Urugwaju) i Muzeum Indianina na Placu San Martína, z kolekcją kamieni, broni i narzędzi kamiennych głównie Indian Charrúas z Urugwaju. Pan pilnujący tego Muzeum jest cały podniecony faktem, że jestem pierwszym Polakiem, który tam się pojawił. „Może pan wyjść na balkon. Proszę spojrzeć, jakie tu mamy piękne rzeczy!". Pstrykam dwa zdjęcia, aby mu zrobić przyjemność.

Włóczę się po miasteczku. Ludzie opalają się na kamieniach nad rzeką, a niektórzy nawet się kąpią. Mury obronne, łuk Polnej Bramy, molo koło Bastionu del Carmen, Bastion Bandery, Plac Główny (*Plaza Mayor*), gdzie Muzeum Miejskie, Archiwum i Muzeum Portugalskie i wreszcie Plac Broni Manuela Lobo przed kościołem parafialnym. Poubierane po *bajańsku* w obszerne białe suknie białe starsze kobiety tańczą *candombe*, a przygrywa im na bębnach 3-4 na niebiesko ubranych chłopców, którzy idą za nimi. Wyjazd autobusem do Montevideo o 19-tej. Odległość 180 km. Po drodze lekko pofalowany, zielony krajobraz. Przyjazd na nowoczesny dworzec autobusowy Trzy Krzyże (*Terminal Tres Cruces*) w Montevideo około godz. 22-ej. Z dworca wlokę się do Ambasady RP. Otwiera mi dość miła pani, która potem przynosi kanapki, pomidory, margarynę, jajka i bułki. Dobrze, że to tylko 10 minut drogi od dworca autobusowego, obok Ospedale Italiano, na ulicy Canning.

Poniedziałek, 15 stycznia. Po śniadaniu schodzę na parter Ambasady i rozmawiam z panią konsul Martą Ziembińską. Przychodzi ambasador, Ryszard Sznepf i zaprasza na kolację wieczorem. Z kierowcą Ambasady, bardzo miłym Luisem Roberto Rodino Medovem do miasta. Bilet na autobus do Porto Alegre. Aleją 18 Lipca do centrum. Dość elegancka ta aleja, ale jakaś szara. Zostawiam torbę do reperacji (rozdarta na promie z Buenos Aires). Plac Niepodległości z potężnym pomnikiem Artigasa. Pomnik Bruno de Zabala, założyciela Montevideo w 1726, na kolejnym placu, mniejszym i ładniejszym. Potem plac z katedrą z 1804, w stylu neoklasycznym, przy niej ładna fontanna. *Mercado del Puerto*, czyli Targ Portowy, to zespół barów i restauracji z wołowiną z rusztu. Tam jem befsztyk (*churrasco*) z chlebem i piwem. Niezbyt ciekawe Stare Miasto: sklepy, sklepiki, odrapane kamienice. Bulwarem zwanym *La Rambla,* dość zaniedbanym, częściowo w remoncie, do małego fortu i kościoła anglikańskiego, kopii świątyni rzymskiej. Na murze nad rzeką La Plata, znacznie tutaj czystszą, niż w Colonia del Sacramento, siedzą pary.

Na rogach ulic tabliczki (zielone, z białymi napisami) wyjaśniające nazwy ulic: Sarandí, Rincón, Treinta y Tres… Plac z pomnikiem Bruno de Zabala i posągiem nagiej nimfy. Dalej, plac z fontanną i katedrą, w której wnętrzu posążek Matki Boskiej Założenia Miasta (*Nuestra Señora de la Fundación*). 24 grudnia 1726 przewodniczyła założeniu miasta i była czczona przez jego

mieszkańców. Na prawo od ołtarza głównego ładny leżący posąg Św. Fermina. Jedyna stara brama (*Puerta de la Ciudad*) prowadzi na Plac Niepodległości z pomnikiem bohatera narodowego nr 1, José Gervasio Artigasa, na różowym marmurowym cokole (autor: Angelo Zanelli, rzeźbiarz włoski, 1923). Przy placu zgrabny Pałac Estéveza, z końca XIX, dawny pałac prezydencki, w stylu manierystycznym, z kolumnadą. Przepycham się zatłoczoną, bardzo długą Aleją 18 Lipca. Stragany wzdłuż obu chodników i tłumy przechodniów utrudniają posuwanie się. Parę dużych księgarń, kina, teatry. Spośród budynków wyróżniają się: Pałac Brazylijski (*Palácio do Brasil*) i obok kolejny pałac w stylu francuskim – siedziba Muzeum Gauczów (*Museo del Gaucho*), wielki, czerwony gmach ratusza (*Intendencia*), Biblioteka Narodowa, Uniwersytet, różowy pałacyk – siedziba MSZ.

Plac Szamotaniny (*Plaza del Entrevero*) z pomnikiem Indian Charrúas walczących z hiszpańskimi konkwistadorami (autor: José Belloni, 1965), *Plaza Cagancha* z pomnikiem Zwycięstwa (*Columna de la Victoria* o *de la Paz*), autor: Giuseppe Livi, 1867, Pomnikiem Gaucza (José Luis Zorrilla de San Martín, 1927) i Obeliskiem, dziełem tego samego artysty, 1938. O 21-ej na kolację ze Sznepfem i Ziembińską-Hyjek do restauracji *Balcón del Lobo* (Balkon Wilka), koło *La Rambla*. Po drodze ładny pomnik reformatora oświaty i wychowawcy młodzieży José Pedro Varela (1845-1879), autor: hiszpański rzeźbiarz Miguel Blay, inauguracja 1918. Na kolację ser *provolone* z ziołami, na ciepło,

zapiekane chorizo i soczysty, krwawy antrykot, plus wino stołowe. Niedaleko restauracji w pięknej, neokolonialnej willi Muzeum poety urugwajskiego, ojca rzeźbiarza, Juana Zorrilla de San Martín (1855-1931). Sznepf był w dość dobrym humorze i nawet opowiadał śmieszne dowcipy.

Wtorek, 16 stycznia. Ból głowy, straszliwe zatrucie i zmęczenie. Przekładam wyjazd do Porto Alegre na następny dzień. Z kierowcą Luisem na Cerro (wzgórze nad Montevideo, od którego pochodzi nazwa miasta). Na szczycie wzgórza, 132 m wysokości, forteca hiszpańska, armaty, pomnik Artigasa u stóp fortecy. Rozległy widok na miasto i zatokę, rafinerię – wszystko przyprószone szarą mgiełką. Widać ten najbardziej charakterystyczny budynek z wysoką wieżą przy Placu Niepodległości, zwany *Palacio Salvo* (Mario Palanti, 1928). Po drodze Parque del Prado i oryginalny pomnik Dyliżansu (José Belloni, 1952) z wielkim konnym zaprzęgiem i przewodnikiem na koniu z przodu. W dzielnicy willowej elegancki pałac z wieżyczkami, dawna siedziba Ambasady Argentyńskiej. Wielki dworzec kolejowy przy calle Paraguay (teraz tylko pociągi towarowe).

W Parku Battle y Ordóñez, blisko Ambasady RP, bardzo ciekawy Pomnik Wozu (José Belloni, 1919): trzy pary wołów ciągną duży dwukołowy wóz, a za nim idzie jeszcze jedna para wołów i jedzie na koniu woźnica. Podobnie jak dyliżans, wóz grzęźnie w błocie i

woły muszą maksymalnie się natężać, aby go z błota wyciągnąć. Niedaleko jest jeszcze Pomnik Mistrzów w Piłce Nożnej w 1950. W parku drzewo o białych pięknie pachnących kwiatach.

Po południu Pomnik Szamotaniny (*Monumento al Entrevero*) i Muzeum Gauczów. Piękne wnętrze i ciekawa ekspozycja: wyroby ze srebra – naczynia do picia mate, strzemiona, przednie ozdoby pasów – *rastras;* ze skóry – bicze, kule do chwytania bydła i zwierząt, czyli *boleadoras, culeros,* czyli płaty skóry osłaniające spodnie z tyłu, fartuchy, tabakiery (*chuspas)*, pasy, lassa, kapelusze, duże bicze z krótkim trzonkiem (*arreadores*), plecionki, paski, osłony siodeł; z metalu – wędzidła, strzemiona, ostrogi, ostrza lanc, pieczęcie do znakowania bydła, lampki oliwne, patelnie, garnki, kociołki, nożyczki do obcinania knotów u świec, lichtarze, guziki Gauczów – imitacja dawnych ozdób ze srebrnych monet, ostrogi w kształcie dzwonów, ostrza noży i stalowe sztylety. Naczynia do picia mate, także w kształcie kielichów (*mates de „cáliz”*), pojemniki na yerbę mate i cukiernice (*yerberas – azucareras*), krowie rogi – naczynia (*chifles y chambaos*), guziki, pasy, zapalniczki (*yesqueros*), broń i narzędzia (kule do chwytania zwierząt, *desjarretadores* – narzędzie do przecinania ścięgna Achillesa zwierzętom, pistolety, lasso), noże, sztylety, uprząż, ostrogi i bicze. Wielkie bogactwo eksponatów.

Ale już spieszę na spotkanie z Antonio Taco Larretą (1922-2015)

aktor i reżyser teatralny, w Teatro del Centro na Plaza Cagancha 1164 (próba generalna o 19-tej). To ten plac ze statuą Wolności. Rozmawiamy na stojąco może 10 minut. On myślał, że to Joaquín Constanzo chce z nim rozmawiać. Joaquín Constanzo, były ambasador Urugwaju w Polsce, był prześladowany i więziony za czasów dyktatury wojskowych w latach 70-tych. Potem go rehabilitowali, ale on zamknął się w sobie i odizolował od wszystkich. Marta Grompone wyemigrowała do Szwecji na okres dyktatury, a po powrocie umarła na raka. Taco zaprasza mnie na próbę, ale jestem umówiony na nagranie u pani Haliny Wolskiej, bardzo daleko od centrum. Daje mi swój adres. No nie było to serdeczne spotkanie po 30 latach … Znalazłem go bardzo zgorzkniałym. U pani Haliny sympatycznie. Jej matka do niej: "Halina, daj mi sapaty!" (buty).

Środa, 17 stycznia. W Alei 18 Lipca kupuję taki skórzany futerał na termos i mate. To specjalność urugwajska, nigdzie indziej nie widziałem. Nazywa się *matera* lub *porta termo y mate*. Dzisiaj po południu zwiedzam Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej i Kolonialnej (*Museo del Arte Precolombino y Colonial*), obok ratusza. Zawiera głównie repliki, ale też ciekawe malowidła ze Szkół z La Paz (*Escuela Paceña*), z Cuzco (*Escuela Cuzqueña*), z Quito (*Escuela Quiteña*) i z Potosí (*Escuela Potosina*) z XVII i XVIII. Ponadto, sztuka Corrientes: 1. metyska ludowa, XVIII i XIX, 2. pochodząca od prototypu europejskiego, XVIII, 3. pochodząca od prototypu włoskiego, XIX. Kopia posągu

proroka Joela (oryginał wyrzeźbiony przez Aleijadinho w atrium kościoła Bom Jesus de Matosinhos, w Congonhas do Campo, stan Minas Gerais). Oryginalne rzeźby są wykonane z saponitu, czyli kamienia mydlanego. Stąd stanowcze postanowienie wypadu do Congonhas do Campo, zrealizowane w niedzielę, 28 stycznia, trzy dni przed powrotem do Europy. Co do sztuki prekolumbijskiej, to w większości kopie. Wyjątki: statuetka z drewna polichromowanego (kultura Chancay, Huacho, 150 km na północ od Limy, Peruwiańskie Wybrzeże Środkowe, 1100-1400 n. e.), srebrna ozdoba korony (Trujillo, 1200-1400 n. e.), podobna do ceramiki Nazca ceramika kultury Casas Grandes (Chihuahua, 1250-1521 n. e.). Kultury kostarykańskie: 1. Huétar (800-1200 n. e.), 2. Línea Vieja (300-1200 n. e.) 3. Chorotega lub Nicoya (750-1000 n. e.).

Przebiegam jeszcze salę rzeźby greckiej i rzymskiej. Mają tu znakomite kopie wszystkich znanych dzieł, między innymi Dianę wersalską (tę z sarenką), Leokaresa z IV p. n. e. i głowę konia (bogini Selene), z warsztatu Fidiasza z V p. n. e. O godz. 22.00 odjazd z dworca autobusowego Tres Cruces do Porto Alegre.



Erechim. Zameczek.

Czwartek, 18 stycznia. Odległość do Porto Alegre 890 km. Przyjemna podróż. Przed Porto Alegre leje. Zalane tereny, mokro. Na dworcu autobusowym (*rodoviária*) czekają ksiądz Leon Lisiewicz i Mariusz Niedziółka, obaj bardzo mili i sympatyczni. Jest 9.30 rano. Bilet do Erechim na 20 stycznia. Po śniadaniu wycieczka za miasto, wzdłuż rzeki Guaíba. Monte de Santa Tereza – wspaniały widok na miasto i okolicę. Ksiądz Lisiewicz opowiada legendę o Indiance Obiriti, jednej z dwóch

kandydatek na żonę kacyka. Niestety, nie trafiła z łuku do tarczy i nie została jego wybranką. Wobec tego zaczęła płakać, a z jej łez powstała nieistniejąca już rzeczka Ibicuiretã. Plaża nad rzeką Guaíba. Objeżdżamy wzgórze zabudowane eleganckimi willami, zwane *Vila de Conceição*, z kaplicą.

Po obiedzie niesamowity cmentarz mieszczący się w kilkupiętrowym wieloczłonowym, połączonym korytarzami i schodami „koronkowym" budynku. Zwie się *Cemitério São Miguel e Almas* (Cmentarz Św. Michała i Dusz). Nieprawdopodobny labirynt! W Parku *Araújo de Viana* pomniki trzech kompozytorów: Chopina, Bethovena i Carlosa Gomesa (kompozytora brazylijskiego 1836-1896). Miasto liczy 1400 tysięcy mieszkańców. W centrum nowa katedra z 1929, masywna i elegancka, w krypcie osiem gigantycznych głów Indian; Pałac Gubernatora, zwany także Pałacem Piratini, 1921: na pierwszym piętrze malowidła o treści historycznej. Poniżej Placu Marszałka Deodoro, Teatr Św. Piotra i ciemno różowy Dom Quintany, dawny wielki hotel zamieniony na Centrum Kulturalne z dziedzińcem wewnętrznym. Mário Quintana jest poetą brazylijskim urodzonym w stanie Rio Grande do Sul w roku 1906.

Wieczorem pan Mariusz Niedziółka zaprasza księdza Leona i mnie na kolację do *Galpão Crioulo* (Hangar Kreolski). Od kurzych serduszek z rożna po kiełbaski i ogromne połcie pieczonej wołowiny – *churrasco*. Pan Mariusz preferuje *cupim* z

garbu krów rasy zebu. Od połowy tej kolacji nie mogę patrzeć na mięso. Na szczęście, na scenie widowisko: folklor gauczowski. Śpiewają i tańczą ogniste tańce w biało-czerwonych strojach. Ale tango argentyńskie to im nie wyszło wcale. Kto to widział, żeby tańczyć tango jak w dyskotece, w takiej odległości jedno od drugiego! Partnerzy muszą cały czas po sobie spływać, wić się po sobie, oplatać się jak najciaśniej.

Piątek, 19 stycznia. Rano pada i to porządnie. Piszę ten pamiętnik. Na obiad z księdzem Leonem do pana Komki *Churrascaria &Galeto. Komka*. *Galeto* to kurczak, którego zamówiłem. Po obiedzie w biegu wsiadam do autobusu i jadę sam do centrum. Targ owocowy przy neoklasycznej Hali Targowej (*Mercado*), 1864. Fryzjer za 5 reali. Muzeum Júlio de Castilhos (1859-1903; dziennikarz i gubernator stanu Rio Grande do Sul), przy Rua Duque de Caxias 1231. Najpierw dział Republiki: kule do chwytania zwierząt (*boleadeiras*), dzwonki (*chocalhos*), sandały na podwyższeniu (*tamancos sírios*), łyżka do obuwia (*calçadeira*), ostrogi chilijskie, lufki (*piteiras*), naramienniki (*dragonas*), lichtarze (*palmatórias*). Cesarstwo i Kolonia: narzędzia tortur dla niewolników (żelazne lub drewniane obroże – *gargalheiras*, łańcuchy, kajdanki – *grilhões* lub *algema*, kojec – *tronco*). Rzeźby z Guarańskich Misji Jezuickich, z pustymi wycięciami z tyłu: Jezus dźwigający Krzyż (*Senhor dos Passos*), Matka Boska, Św. Franciszek Ksawery, Anioł. Poncza zwane są tutaj *pala.*

Strażnik namawia mnie na rozmowę z panią dyrektor, Miriam Aloísio Avruch (mąż jest polskim Żydem). Bardzo miła rozmowa. Po wyjściu z Muzeum, centralny plac przed katedrą z wzniesionym w 1913 pomnikiem Júlio de Castilhos. W Teatrze São Pedro, 1858, w foyer koncert Blue Jazz. Grają Francisco Gomes na skrzydłówce (fluegelhorn) i James Liberato na gitarze portugalskiej. Gdy wchodzę, grają akurat *„Triste”* (Smutny) Toma Jobima, potem *Samba de Verão* (Letnią sambę) autorstwa Marco i Paulo Sérgio Valle i znowu Toma Jobima i Viniciusa de Morães *O morro não tem vez* (Skała nie ma alternatywy). Pani Avruch właśnie wychodzi.

Poszedłem w przeciwną stronę i zabłądziłem sromotnie. Jak nigdy! Bardzo się oddaliłem od Hali Targowej (*Mercado*), ale dzięki temu mogłem sfotografować stary, kamienny most zbudowany przez założycieli miasta, emigrantów z Wysp Azorskich, w 1854 i ich nowoczesny pomnik z żelaza, wyobrażający wielki statek, którym przypłynęli do Brazylii, 1974. Dalej, pomnik na koniu marszałka Osório (*Manuel Luís Osório, marquês do Herval*), 1808-1877. Zwyciężył w dwóch bitwach w kampanii paragwajskiej, pod Tuiutí w 1866 i pod Avaí w 1868, gdzie odniósł rany. Pięknie zadrzewiony Plac Komory Celnej (*Praça da Alfândega*). Kawałek ulicą dla pieszych (*para pedestres*), gdzie sprzedawcy zwijają swoje kramy. Przy *Mercado* pięknie oświetlony Pałac Piratiní z fontannami dookoła. Gdy wracam do księdza Lisiewicza, zastaję pana Mariusza

Niedziółkę. Już obaj mieli telefonować na policję! Ten wspaniały człowiek, ksiądz Leon Lisiewicz, umarł 22 stycznia 2010 roku w wieku 82 lat…

Sobota, 20 stycznia. Całkiem przyjemna podróż do odległego o 330 km Erechim. Z Porto Alegre wyjeżdżam o 9-tej rano, a w Erechim jestem około 15-tej. Po drodze wspinamy się dość wysoko w Passo Fundo, potem Getúlio Vargas i Erechim, zwane dawniej *Paiol Grande,* czyli Wielka Prochownia. Siostra Consolata (kuzynka Siostry Fabioli z Kurytyby) i Matka przełożona, Włoszka z pochodzenia, czekają na dworcu autobusowym. Pokoik w klasztorze na parterze, dość sympatyczny. Nagranie u pana Józefa Leonarda Ziemnieczaka (*José Leonardo Gemnieczak*), także z udziałem germanofila z Grudziądza. Poznaję panią Wandę Krepinski Groch, obecną konsul honorową RP i jej rodzinę. Widuję ją wówczas często. Proponuje mi pracę na miejscowym uniwersytecie w charakterze wykładowcy polskiego i hiszpańskiego. Niestety, z winy tamtejszej uczelni, nic z tego w końcu nie wyszło. Samo miasto nie ma nic ciekawego do zaoferowania: jest stosunkowo nowe, pozbawione zabytków, może z wyjątkiem budynku Prefektury i stylowego „Zameczku” (*Castelinho*), 1915. Czerwona ziemia, długie proste ulice, nieprawdopodobnie rozciągnięte w przestrzeni. Podobne w swej nijakości do opisanego wyżej Assis, w stanie São Paulo.

Niedziela, 21 stycznia. W pobliskim Barão de Cotegipe dwa nagrania: z panią, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć oraz z niesłychanie elokwentnym i ciekawym rozmówcą, moim krajanem z Bolimowa, panem Tadeuszem Trzcińskim. Siedzę u niego całe popołudnie. Poznaję całą bardzo miłą i gościnną rodzinę. Przy domu rosną olbrzymie drzewa. W czasie mojego tam pobytu długa ulewa tropikalna. Pan Tadeusz odwozi mnie do klasztoru w Erechim, ale przedtem zdjęcia całej rodziny z koszyczkami nabytymi u Indian Guaraní.

W **poniedziałek, 22 stycznia,** Erechim, a we wtorek, 23 stycznia, dwa pobliskie miasteczka: Áurea i Carlos Gomes, gdzie także nagrywam. Wizyta w Áurea u młodego polskiego księdza Czesława Pieli, który sprezentował mi gadający po hiszpańsku zegarek zakupiony w Paragwaju. Oba miasteczka to raczej duże wsie rozrzucone po wzgórzach. Mnóstwo osób polskiego pochodzenia. Z Áurea pochodzi Bernadete Popoaski, późniejsza stypendystka na UJ w Krakowie.

Środa, 24 stycznia. Odjazd do Kurytyby, 481 km, 5 godzin jazdy. Z całą rodziną państwa Kawków nad morze, do Praia de Leste, via Estrada Graciosa. Odległość 100 km. Ta droga przecina piękne, porośnięte gęstą roślinnością, pełne potoków i wodospadów Góry Nadmorskie (*Serra do Mar*). Nazajutrz, w czwartek, 25 stycznia, plaże Caiobá i Matinhos. Nie specjalnie malownicze. Po południu powrót pociągiem do Kurytyby. Mimo

osławionej pięknej trasy z Paranaguá przez Góry Nadmorskie, niewiele widać z tego pociągu z powodu licznych tuneli, zasłaniającego widoki ogona pary z parowozu i ciągłych ostrych zakrętów. Ledwie zdążyłem rzucić okiem na słynny wodospad „Welon Panny Młodej" (*Véu da Noiva*), już zniknął. Gdzieś w tle widać piękne szczyty, wspaniałą skalistą górę Marumbi, 1539 m. Na dworcu autobusowym w Kurytybie starsza córka państwa Kawków z narzeczonym pomagają mi włożyć bagaż do bagażnika autobusu i w nocy podróż do Rio de Janeiro, 852 km. Mało przyjemna, bo straszny ziąb, klimatyzacja na maksimum: strumień lodowatego powietrza spływa mi na ramię i nie można zmienić miejsca, bo autobus nabity!

Piątek, 26 stycznia. Rano Luitgarde i jej mąż czekają na dworcu autobusowym w Rio de Janeiro. Piękne słońce i Corcovado z Chrystusem Odkupicielem góruje nad miastem. Odpoczywam po podróży, a nazajutrz, w sobotę, 27 stycznia, zwiedzam *Quinta da Boa Vista* (Pałac z Pięknym Widokiem), początek XIX, dawna rezydencja cesarzy Brazylii, zwana także Pałacem Św. Krzysztofa (*Palácio de São Cristóvão*). Wewnątrz Muzeum Narodowe. Wśród zbiorów najbardziej zainteresowała mnie dawna ceramika z wyspy Marajó, u ujścia Amazonki, przepiękne wzory geometryczne na polichromowanych naczyniach i urnach grzebalnych. Wieczorem jadę autobusem do Congonhas do Campo, w stanie Minas Gerais. Odległość 355 km. Podróż trwa 5 godzin.

Niedziela, 28 stycznia. Gdy wysiadam z autobusu jeszcze całkiem ciemno i bardzo zimno. Znowu zapomniałem ciepło się ubrać, a na tej wyżynie temperatura jest o wiele niższa, niż nad oceanem w Rio de Janeiro, szczególnie w nocy i rano. Popędziłem najpierw w kierunku innego kościoła na wzgórzu i dopiero później zorientowałem się, że to nie ten. Kościół Jezusa Dobrej Śmierci z Matosinhos – 1757, jest daleko od dworca autobusowego, na wyniosłym wzgórzu. Właśnie za nim wstawało słońce i pięknie rysowała się sylwetka otoczonego palmami kościoła na tle rozpalonego różowością nieba. Wyłaniał się z wolna z mroku nocy i triumfalnie wkraczał w światłość. To było czarujące zjawisko! Tego dnia byłem pierwszą osobą przy tym kościele. Przed nim monumentalne schody z posągami dwunastu proroków wyrzeźbionymi przez Aleijadinho (1730-1814) w szarym saponicie, a niżej, wzdłuż opadającej łagodnie drogi, siedem dużych barokowych kaplic ze stacjami Drogi Krzyżowej. Wszystkie 66 figur w kaplicach w drewnie cedrowym wyrzeźbił także Aleijadinho. Na modłę baroku postaci są ukazane w ruchu, rzeźby polichromowane, barwne, pełne życia. Kolory dobrze się zachowały. Sam kościół wewnątrz także interesujący. Ma bogaty wystrój rokokowy o wpływach włoskich.

Po południu jadę jeszcze do Sabará, z drugiej strony stolicy stanu, Belo Horizonte. Miasteczko znakomicie zachowało klimat kolonialny z XVIII. Najpiękniej wygląda kolorowa ulica Dom Pedro II (dawniej *Direita* – Prosta). Usytuowane na wzniesieniach

kościoły, w tym najwspanialszy Kościół Matki Boskiej z Góry Karmel oraz Kościół Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia to prawdziwe klejnoty brazylijskiego baroku kolonialnego, barwne, wspaniałe! Malowniczą budowlą jest Kaplica Matki Boskiej La O, o ciekawych drewnianych balaskach w oknach frontowych. Pozostałe dwa kościoły barokowe to Kościół Matki Boskiej Łaskawej i Św. Franciszka z Asyżu.

Poniedziałek, 29 stycznia. Biegam w Rio de Janeiro po księgarniach, kioskach z gazetami i rezerwuję bilet do Lizbony w Portugalskich Liniach Lotniczych TAP, zaś we wtorek, 30 stycznia, dalszy ciąg wizyt w księgarniach, głównie książek używanych – *sebos* (są znacznie tańsze) w okolicy Placu Tiradentes. Przy okazji zwiedzam osiemnastowieczny jezuicki kościół Św. Franciszka z Pauli, wewnątrz neoklasyczny i rokokowy, a także kościół Matki Boskiej z Lampedusy, z 1936, z okazałym wnętrzem i wielkimi żyrandolami. Niesłychanie interesujący jest Portugalski Królewski Gabinet Lektury (*Real Gabinete Português de Leitura*) z 1887, na zewnątrz w pięknym stylu manuelińskim, a w środku trzy wysokie poziomy drewnianych półek z książkami i ozdobna latarnia w suficie oświetlająca mocnym światłem stoły czytelników. Zgromadzono tu 350 tysięcy tomów i jest to drugie poza Portugalią miejsce na świecie, gdy chodzi o ilość książek portugalskich.

Środa, 31 stycznia. Ponownie podziwiam zbiory Brazylijskiego

Muzeum Narodowego w Pałacu Św. Krzysztofa, a wieczorem odlatuję do Lizbony, gdzie spędzam pierwszy dzień lutego. Na lotnisko przyjechała po mnie Carla Sacadura Cabral. Po nieprawdopodobnym, szaleńczym upale w Rio de Janeiro, gdzie przy pakowaniu bagażu pot kapał ze mnie grubymi kroplami, w Lizbonie dygoczę z zimna.

Piątek, 2 lutego 1996. Lot Lizbona – Berlin Tegel, a potem z dworca Berlin Lichtenberg pociągiem do Wrocławia. Nie było mnie w domu od września 1995.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-iii/

http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/

Teatr był całym moim życiem.



Irena Habrowska-Jellaczyc, zdjecie współczesne, fot. Maria Glińska.

Z aktorką, twórczynią Teatru Polskiego w Kanadzie, Ireną Habrowską-Jellaczyc rozmawia Edward Zyman.

Edward Zyman: W napisanej wspólnie z Adamem Tomaszewskim książce *Ze sceny i estrady*[1] przywołujesz ważny rozdział historii kulturalnego życia kanadyjskiej Polonii, jakim był działający w latach 1972-1977 Polski Teatr w Kanadzie. Wspominasz w niej o swej działalności aktorskiej i organizacyjnej, omawiasz poszczególne premiery, przybliżasz nie najłatwiejsze warunki emigracyjnej Melpomeny. Czy możesz powiedzieć kilka słów o swoich pierwszych krokach na scenie?

Irena Habrowska-Jellaczyc: Wszystko zaczęło się w Poznaniu, gdzie po wojnie uczestniczyłam w zajęciach Studia Dramatycznego Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej. Była to znakomita szkoła prywatna, która wydała wielu świetnych aktorów dramatycznych. Ponieważ jednak nie dysponowała prawem przyznawania licencji, jej absolwenci składali egzaminy w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi, w której, już jako aktorka, przez rok uzupełniałam studia w zakresie teorii. Wcześniej, zaraz po złożeniu egzaminu, zostałam zaangażowana przez Leona Schillera do Teatru Wojska Polskiego.

E.Z.: To była wówczas jedna z najbardziej prestiżowych scen w Polsce. Angażowanie debiutantów nie należało chyba do codziennych praktyk w tym teatrze.

IHJ: Mój angaż byłby niemożliwy, gdyby nie Aleksander Zelwerowicz, który zasiadał w komisji egzaminacyjnej.

E.Z.: … i który mógł wybrać równie dobrze kogoś innego.



Irena Habrowska w latach 40., u początków swej kariery aktorskiej,

IHJ.: Otóż, nie bardzo. Z sześćdziesięciu osób, które przyjechały z Poznania, zdały bowiem tylko dwie. Dla mnie samej było to pewne zaskoczenie, bo do Studia Dramatycznego uczęszczałam zaledwie półtora roku, podczas gdy inni byli już tam trzy lata. Jechałam więc do Łodzi, która w tamtym okresie była artystyczną stolicą Polski, z duszą na ramieniu. Praktycznej strony egzaminu się nie obawiałam, sen z oczu spędzała mi natomiast teoria. Był to ogromny materiał m.in. z zakresu literatury polskiej i

światowej, historii i teorii teatru, dramatu, filmu, a nawet chyba także filozofii. Jak to się stało, że byłam jedną z dwóch osób, które zdały egzaminy przy pierwszym podejściu doprawdy nie wiem. Pamiętam tylko, że znakomity profesor Bohdan Korzeniewski maglował mnie niemiłosiernie z historii teatru, pytając o liczne fakty, nazwiska i daty. W pewnym momencie byłam tak zestresowana, że już myślałam, że nie dam rady. I wówczas, widząc moje zdenerwowanie, z odsieczą pośpieszył mi Zelwerowicz, który powiedział do Korzeniewskiego: – *Panie profesorze, przyczepił się pan do tych dat, jak rzep do psiego ogona*, po czym zaproponował mi półgodzinną przerwę bym mogła się uspokoić. I to mi rzeczywiście ogromnie pomogło. Gdy po upływie tego czasu wróciłam do sali, byłam już zupełnie opanowana i dalsza część egzaminu przebiegła bez przykrych sensacji.

E.Z.: Teoria była po praktyce?

IHJ.: Na szczęście. Egzaminujący pamiętali moją prezentację sceny balkonowej z *Romea i Julii* Szekspira, jakiegoś fragmentu z Zapolskiej, a także kilku wierszy i patrzyli na mnie raczej łaskawym wzrokiem. Zresztą ja wiedziałam już, że jest dobrze, bo po egzaminie praktycznym, podczas przerwy, podszedł do mnie prof. Damięcki, który był również w komisji egzaminacyjnej, i na oczach wszystkich poklepał mnie serdecznie po ramieniu mówiąc: – *Proszę się nie denerwować, zdała pani!*

E.Z.: Kto był tym drugim szczęściarzem?

IHJ.: Razem ze mną zdał Lech Majtas, późniejszy znakomity aktor, znany pod nazwiskiem Lecha Ordona.

E.Z.: Powiedziałaś, że zaraz po egzaminie otrzymałaś propozycję pracy w Teatrze Wojska Polskiego. Jak zareagowałaś na tę ofertę?



Andrzej Lapicki, Łódź, lata 40-te.

IHJ.: W pierwszej chwili chciałam ją odrzucić? Nie podobała mi się nazwa tego teatru. Pomyślałam sobie, co ja mam wspólnego z wojskiem? I pewnie bym zrezygnowała, gdyby nie Leszek, który

rozproszył moje wątpliwości, mówiąc, że to jedna z czołowych scen polskich, że jest tam Schiller, Zelwer i że grają w tym teatrze największe sławy i najzdolniejsi z młodych, co się sprawdziło, bo rzeczywiście w zespole obok nas byli tacy aktorzy, jak Józef Węgrzyn, Aleksander Zelwerowicz, Tadeusz Fijewski, Barbara Rachwalska, Wanda Łuczycka, Andrzej Łapicki, Kazimierz Dejmek, Ryszarda Hanin, Janina Godlewska, Hanna Jaraczówna, Jan Świderski, Stanisław Grolicki, Andrzej Bogucki, Janusz Kłosiński, Józef Maliszewski, Jadwiga Chojnacka, Henryk Borowski, Józef Pilarski, Władysław Krasnowiecki, Halina Kossobudzka, czy Maria Miedzińska. Argumenty Leszka przekonały mnie i w końcu podpisałam ten kontrakt, ale przez trzy miesiące nie mówiłam o tym mamie, która niechętnie wyrażała zgodę na moje wyjazdy z Poznania. Przyznałam się jej do tego dopiero na trzy dni przed rozpoczęciem sezonu, bo pomyślałam sobie, że jak mam mieć awanturę, to lepiej, jeśli będzie ona trwała trzy dni, niż trzy miesiące.

E.Z.: Byłaś już wówczas dorosła osobą, skąd więc ta nadopiekuńczość mamy?

IHJ.: Mama, jak każda mama, chciała mieć mnie przy sobie, ale był także powód inny. Ja byłam bardzo niespokojnym duchem. Podczas okupacji, jako kilkunastoletnia dziewczynka, uznałam w pewnym momencie, że mam dość Poznania, w którym niemal wszyscy mówili po niemiecku i bez papierów, narażając się na

ogromne niebezpieczeństwo, wyjechałam do Warszawy, do babci. Po drodze były oczywiście różne przygody, kilkakrotnie mnie zatrzymywano, ale miałam niebywałe szczęście. Gdy w pociągu złapano mnie bez biletu i bez dokumentów, zagrałam rolę zagubionego dziecka, które jedzie do rodziców. Ponieważ mówiłam po niemiecku bez akcentu, policjant nie tylko w to uwierzył, ale wysłał mnie z eskortą do Warszawy. Skończyło się na strachu i na karze, którą musiała zapłacić biedna babcia za mój „przejazd bez biletu". W Warszawie, w której chodziłam na tajne komplety, czułam się bardzo dobrze, ale mama, dowiedziawszy się od kuzyna o tym, że „coś się w niej szykuje", siłą zabrała mnie do Poznania.

E.Z.: Wiem, że w Poznaniu, jeszcze w trakcie studiów, występowałaś w Teatrze Nowym i w Teatrze Polskim. Czy poinformowawszy mamę o swoich łódzkich planach zgłosiłaś się do Teatru Wojska Polskiego?

IHJ.: Najpierw powiem o Poznaniu. W pierwszym z wymienionych przez ciebie teatrów zagrałam w komedii Gozdawy i Stępnia *Dziewczyna i kokosy*, w Polskim natomiast wystąpiłam w *Weselu* Wyspiańskiego. Były to dla mnie, młodziutkiej dziewczyny, ważne spektakle, ale moja prawdziwa, choć w sumie krótkotrwała przygoda ze sceną wiąże się z Teatrem Wojska Polskiego w Łodzi. Zanim jednak do niej przyjechałam, wybrałam się na wakacje nad morze, konkretnie

do Gdyni, co, jak się okazało, zadecydowało o moim późniejszym życiu. Tutaj odwiedziłam Iwo Galla w jego słynnym teatrze, co zakończyło się tym, że otrzymałam niezwykle dla mnie atrakcyjną propozycję angażu. I pewnie zostałabym w Gdyni, gdyby nie pewne perturbacje osobiste.

E.Z.: Zabrzmiało to bardzo tajemniczo. Możesz uchylić rąbka tajemnicy?

IHJ.: Wolałabym nie.

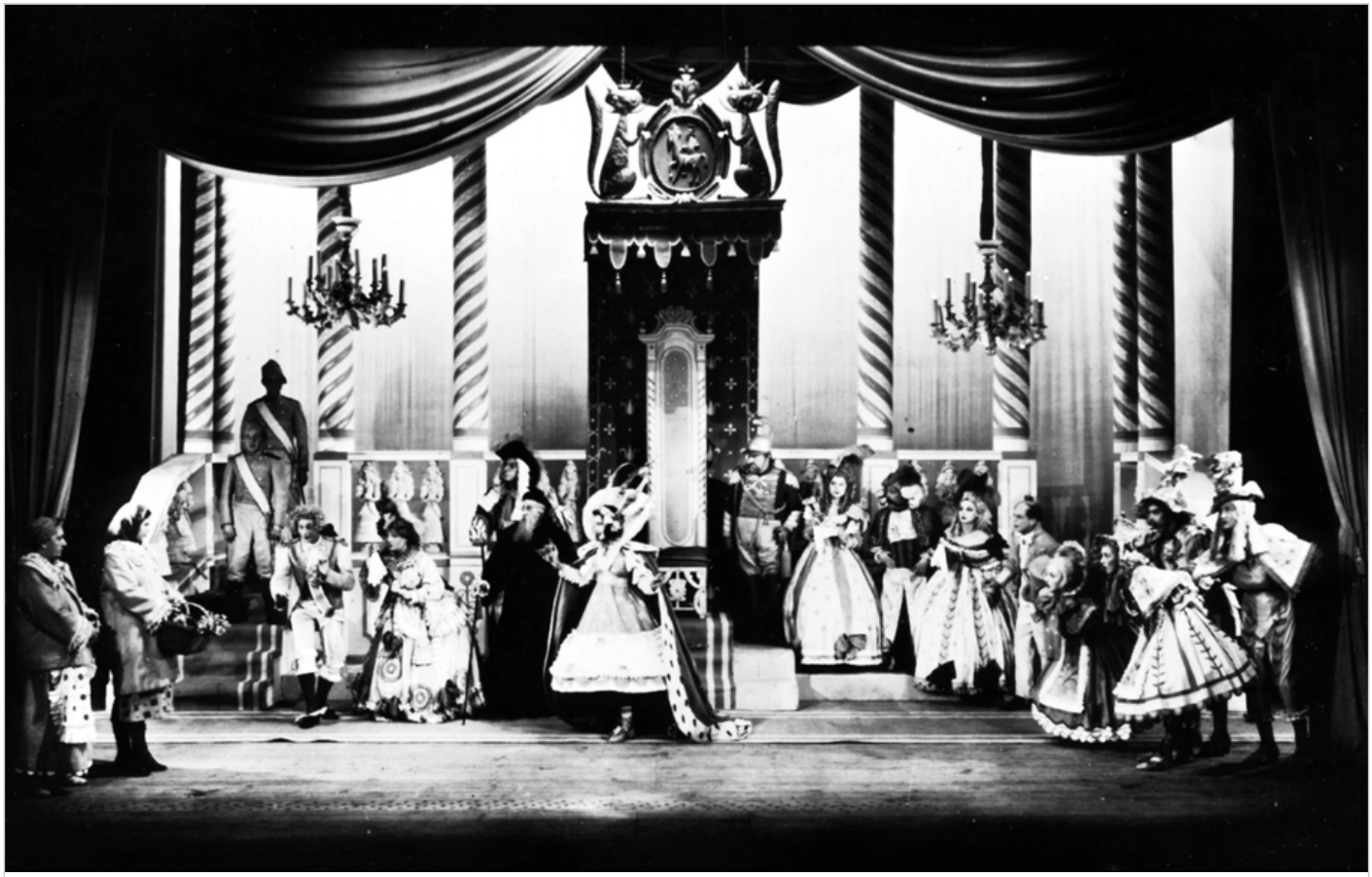
E.Z.: Podjęłaś współpracę ze służbami specjalnymi?

IHJ.: (śmiejąc się) Zrobiłam coś gorszego: zakochałam się!

E.Z.: I o tym nie chcesz mówić? Kim był ów szczęśliwiec?

IHJ.: Właśnie w tym jest problem. Był to Stefan Jellaczyc, mój późniejszy mąż. Poznałam go w ten sposób, że pewnego dnia wybrałam się do restauracji na obiad i stwierdziłam, że nie mam polskich pieniędzy tylko amerykańskie dolary, które dostałam od mamy. Zawołałam więc kelnera i zapytałam, czy nie zna kogoś, u kogo mogłabym zmienić je na złotówki. I zjawił się piękny młodzian, który przyprowadził Stefana. Pewnie by mnie nie zainteresował, ale okazało się, że jest właścicielem kutra rybackiego i odbywa dalekomorskie rejsy połowowe. Pomyślałam

więc, że jest to dobra okazja, ale w pewnym momencie doszło między nami do poważnej różnicy zdań i postanowiłam pojechać do Łodzi. Tu zadebiutowałam rolą Mańki w *Panu Damazym* Blizińskiego, którym teatr uczcił pięćdziesięciolecie działalności aktorskiej Aleksandra Zelwerowicza. W sztuce tej grałam w towarzystwie tak znakomitych aktorów jak Barbara Fijewska, siostra Tadeusza Fijewskiego, Andrzej Bogucki, Aleksander Zelwerowicz, Józef Pilarski, Benigna Sojecka, Andrzej Łapicki, Tadeusz Woźniak, Maria Dąbrowska i Ewa Kunina. Reżyserował oczywiście Zelwerowicz, a kostiumy i dekoracje były dziełem Otto Axera. Wystąpiłam ponadto w *Wielkanocy* Otwinowskiego i w *Dwunastu miesiącach* Marszaka, wyreżyserowanych przez Reginę Kowalewską, w których zagrałam główną rolę królowej.



Teatr Wojska Polskiego w Łodzi. Irena Habrowska (w środku sceny)
Jako królowa w „Dwunastu miesiącach” S. Marszaka.

EZ.: Dodajmy do tego udział w audycjach Polskiego Radia i występy estradowe. Wszystko to zapowiadało rozwój interesującej, może nawet błyskotliwej i wielkiej kariery, a jednak świadomie z niej zrezygnowałaś. Aktorzy nie emigrują zbyt często. Jak doszło do tego, że podjęłaś decyzję o wyjeździe z Polski?

IHJ.: Ważny element mojej odpowiedzi kryje się w czasie. Były to

lata pięćdziesiąte, a więc apogeum stalinizmu. Na niedawnym zjeździe Związku Literatów Polskich wprowadzono oficjalnie doktrynę socrealizmu, która objęła nie tylko literaturę, ale całą polską sztukę, teatr również. I nie wszystko w tym teatrze mi się podobało. Męczyła mnie zwłaszcza denerwująca służalczość i drapieżna apologia komunizmu, które obserwowałam w zachowaniu większości kolegów i koleżanek.

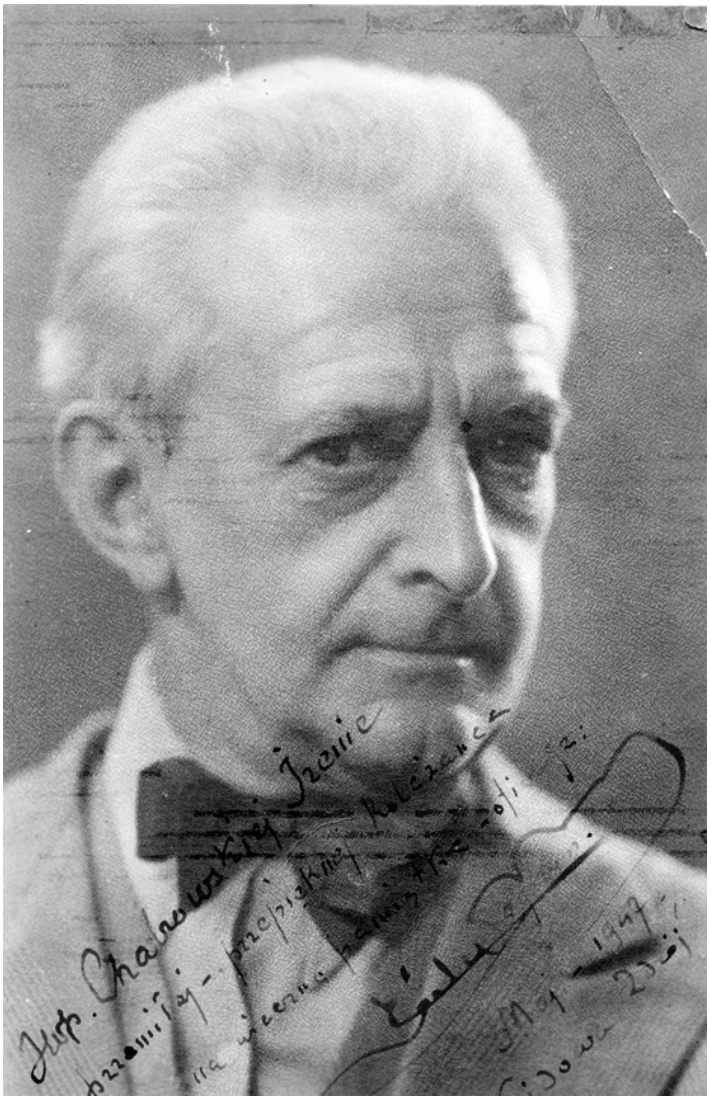
E.Z.: Nie chcesz wymieniać nazwisk?

IHJ.: Była to postawa raczej powszechna. Właściwie poza Schillerem i Zelwerowiczem, którzy co prawda nie byli opozycjonistami i w jakimś sensie wierzyli, przynajmniej w tamtym czasie, w komunizm, nie pamiętam osób, które zachowywały się przynajmniej wstrzemięźliwie. A jeśli chodzi o wymienionych przeze mnie znakomitych twórców, to myślę, że byli raczej idealistami, może myśleli o ludzkiej biedzie, której było przecież niemało, w każdym razie w codziennym postępowaniu nie wykazywali tej denerwującej, neofickiej gorliwości, która była dla mnie czymś odpychającym.

E.Z.: Twoja pamięć z pewnością zachowała pewne sytuacje i zdarzenia, które charakteryzują klimat tamtych czasów.

IHJ.: Mogłabym wymienić ich wiele, ale podam jeden tylko przykład, zresztą bardzo, jak sądzę, wymowny. Było to w Teatrze

Wojska Polskiego w Łodzi. Dziś już nie pamiętam szczegółów, w każdym razie zebrali nas kiedyś, aktorów i personel techniczny, w dużej sali na dole i poddawali dość natrętnej „obróbce" ideologicznej. Były jakieś przemówienia, wznoszono tradycyjne okrzyki o przyjaźni polsko-radzieckiej i przywódcach narodu, głównie o pierwszym sekretarzu partii i prezydencie Bolesławie Bierucie, a następnie odśpiewano międzynarodówkę. Ponieważ przyglądałam się temu wszystkiemu w głębokim milczeniu, stojąca obok mnie jakaś pani z garderoby powiedziała przerażona przez zaciśnięte usta: – *Niech pani śpiewa, niech pani śpiewa, bo Schiller na panią patrzy!* Odpowiedziałam jej podobnym szeptem: – *Niech patrzy, niech patrzy!* – I nie śpiewałam.



Józef Węgrzyn. Na zdjęciu dedykacja: Habrowskiej Irenie, przemiłej-przepięknej koleżance. Na wieczna pamiątkę ofiaruje Józef Węgrzyn, Maj 1947 r., Kudowa Zdrój.



Andrzej Bogucki, zdjęcie z 1970 r. Na odwrocie dedykacja: Pani Irenie Habrowskiej-Jellaczyc na pamiątkę współpracy W Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi w latach 1945/46. Jej partner Andrzej Bogucki, 7.12.1970 r.

E.Z.: Można więc powiedzieć, że to nie był twój teatr.

IHJ.: Teatr był moją wielką namiętnością i pasją życia, ale nie za wszelką cenę. W tym sensie ówczesny teatr z panującymi w nim stosunkami, wojującą ideologią, która łamała ludzkie charaktery, nie był z pewnością moim teatrem. I tu znowu mogłabym wymienić sporo deprymujących przykładów. Kiedyś pewien reżyser[2] przekazał mi scenariusz filmu pod tytułem *Jasne łany*.

Miałam w nim zagrać jedną z głównych ról. Po przeczytaniu tekstu zorientowałam się, że jest to ordynarna chała, taki produkcyjniak o elektryfikacji wsi. Gdy po pewnym czasie spotkaliśmy się w znanej kawiarni artystów przy Piotrkowskiej i on zapytał mnie o opinię, powiedziałam mu, że w tym filmie właściwie nie ma miejsca dla aktorów, wystarczą robotnicy spółdzielni produkcyjnej. Oczywiście żadnej roli nie dostałam. Zdenerwowany, wyrwał mi scenariusz i powiedział: – *No, to może pani zapomnieć o filmie polskim!* – Po jakimś czasie jestem w tej samej kawiarni w gronie aktorów, a wśród nas Kazimierz Dejmek, który był podobnego zdania o wartości scenariusza, co mi powiedział podczas prywatnego spotkania. Relacjonując przebieg rozmowy z reżyserem, nie ukrywam swej krytycznej opinii o wątpliwej jakości filmu. Nagle czuję, że jedna z koleżanek kopie mnie pod stołem. Dopiero, gdy zachowujący się nieswojo Dejmek, który zaczął bronić scenariusza, odszedł od naszego stolika, zrozumiałam swoją „gafę". Okazało się, że słynny później reżyser, wielka postać polskiej sceny, zgodził się zagrać w tym nieszczęsnym kiczu. Albo inny przykład. Nie darzyła mnie sympatią żona dyrektora Krasnowieckiego i zażyczyła sobie żebym nie przychodziła na jej próby, a równocześnie nie miała żadnych skrupułów by uczestniczyć w moich, i nawet je złośliwie komentować. Ponieważ każdy aktor miał prawo obserwować próby swoich teatralnych partnerów, oczywiście więc odmówiłam życzeniu pani Krasnowieckiej. Wtedy jeden z moich kolegów zaczął mnie przekonywać, że

powinnam jednak opuścić widownię. Powodował się widocznym jak na dłoni oportunizmem.

E.Z.: Powiedziałaś mu to zapewne w oczy.

IHJ.: Nie, ale zrobiłam coś, co zabolało go, jak sądzę, równie mocno. Napisałam mianowicie do niego list, że jest wstrętnym karierowiczem i poprosiłam szatniarkę, by mu go wręczyła, gdy będzie odbierał płaszcz.

E.Z.: Domyślam się, że bezpośredniość, z jaką wypowiadałaś swe sądy, nie ułatwiała ci sytuacji w teatrze.

IHJ.: Ponieważ nosiłam takie czarne futerko, które otrzymałam od mamy, mówili o mnie „o idzie nasza czarna reakcja", ale ze strony koleżanek i kolegów nie zaznałam większych przykrości. Niesympatycznie wspominam tylko dyrektora administracyjnego, Mellera, który z jemu tylko wiadomych powodów okazywał mi wyraźną niechęć i który w końcu doprowadził do tego, że, po roku pracy w teatrze, nie przedłużyłam kontraktu.

E.Z.: Nie interweniowałaś u Schillera?

IHJ.: W tym czasie Schiller był akurat poza Łodzią, ale nawet gdyby był, chyba już nie zabiegałabym o pozostanie w teatrze: miałam tego wszystkiego dosyć.

E.Z.: Z tego, co mówisz wynika, że sens stwierdzenia „to nie był mój teatr" wykraczał poza scenę i dotyczył całego ówczesnego społeczno-politycznego życia.

IHJ.: Dotyczył przede wszystkim tego życia, bo to, co działo się w teatrze było odbiciem sytuacji szerszej, która decydowała o warunkach funkcjonowania kultury w ogóle. Powiedziałam, że czułam obrzydzenie wobec jawnie demonstrowanego przez wielu moich kolegów politycznego serwilizmu, ale muszę powtórzyć, że poza Mellerem nikt mi w szkole nie zrobił żadnej przykrości, a zarówno Zelwerowicz, jak i Schiller bardzo mnie lubili i często ratowali mnie z różnych opresji. Gdy kiedyś przyszłam do Schillera i poprosiłam go o podwyżkę, na co żaden z aktorów się nie odważył, on to przyjął w sposób naturalny. Kiedy indziej zaprosił mnie do swego gabinetu i powiedział, że powinnam sobie koniecznie znaleźć jakiegoś protektora, bo on nie może zawsze ciągle stawać w mojej obronie. Podobnie było z Zelwerowiczem, który również nie pozwolił mnie nigdy skrzywdzić. Po latach dowiedziałam się o tym od Edwarda Dziewońskiego, który podczas spotkania w Toronto powiedział mi, że umrę ze szczęścia, jak przeczytam w jego książce, co Zelwer powiedział na mój temat. Swej obietnicy Dziewoński zresztą nie spełnił, bo jego tom wspomnień *W życiu jak w teatrze* (1989) wprawdzie się ukazał, ale nie było w nim na ten temat żadnej wzmianki.

E.Z.: Nie należysz do osób, które skłonne są przyjąć narzucone „prawdy”, byłaś od początku negatywnie nastawiona do systemu politycznego PRL, stanowiło to konsekwencję wpojonych ci wartości w domu rodzinnym, edukacji szkolnej, czy raczej własnych poszukiwań i przemyśleń?

IHJ.: Dom rodzinny nie był dla mnie inspiracją w tej mierze. Ojciec miał przekonania raczej lewicowe, w czym zorientowałam się później, jak byłam nieco starsza, a mama w ogóle nie zajmowała się polityką, choć wobec powojennej rzeczywistości była bardzo krytyczna. Pozostawała więc szkoła, własne lektury i obserwacje tego, co działo się wokół. Podczas okupacji uczęszczałam na tajne komplety, ale najgłębszą lekcją patriotycznego myślenia było Powstanie Warszawskie. Było ono dla mnie wyrazem największego bohaterstwa i poświęcenia młodych ludzi, którzy dokonali najważniejszego w swoim życiu wyboru. Gdy skończyła się wojna i mieliśmy mieć wolność, a weszły wojska radzieckie, odebrałam to jako rodzaj drugiej okupacji. To wszystko było takie *par force*, nachalne, apodyktyczne, wymagające bezwzględnego posłuszeństwa, a ja byłam ostatnią z tych, które robiły to, co na nich wymuszano. Nawet w szkole podstawowej, jak mi za karę nauczyciel kazał usiąść w pierwszej ławce, to siadałam na podłodze. Rodzice byli katolikami, ale praktykującymi raczej rzadko, powiedziałabym odświętnie. W sumie więc do wszystkiego dochodziłam sama. Moją postawę ugruntowały informacje na temat Katynia, które

uzyskałam już na emigracji, czy bohaterskich walk polskich żołnierzy pod Monte Cassino, Narwikiem czy Falaise. W tych wszystkich miejscach toczyła się walka o wolną Polskę, której wielu z tych wspaniałych ludzi nigdy nie doczekało.

E.Z.: Jakie wartości są dla ciebie najważniejsze?

IHJ.: Szczerość i prawda. Nigdy nie prowadziłam w swoim życiu kalkulacji typu, zrobię to i to, ponieważ mi się opłaci, i nie zrobię tego i tego, bo mi się nie opłaci. Zawsze kierowałam się impulsem.

E.Z.: Gdybyś wybierała to, co dla ciebie opłacalne z pewnością nie poświęciłabyś ponad dwudziestu lat na działalność teatralną na emigracji.

IHJ.: Dokładnie blisko trzydziestu. Tu nie mogło być mowy o żadnych kalkulacjach, bo teatr był moim całym życiem. Fascynacja nim towarzyszyła mi od dziecka, jeszcze od okresu przedszkolnego. W szkole podstawowej moje recytacje ratowały koleżanki od niechybnych dwój. Gdy czuły się zagrożone, prosiły: – *Irka, uderz w lirę Febową!* – więc uderzałam i dobra muza wybawiała klasę z opresji. Szkoła średnia przypadła na czas okupacji, a jak wiesz muzy milczą podczas wojny. Potem było kilka lat pracy w prawdziwym teatrze, a emigracja, na której znalazłam się w wyniku dramatycznej ucieczki, o czym by długo

opowiadać, to zupełnie odrębny rozdział.



Irena Habrowska-Jellaczyc.

E.Z.: A jednak pozostańmy przy nim. Opowiedz jak opuściłaś Polskę?

IHJ.: Myślisz, że to kogoś zainteresuje?

E.Z.: Nie mam najmniejszych wątpliwości. Opowiadaj.

IHJ.: W którymś momencie stało się dla mnie jasne, że w Polsce komunistycznej nie zostanę pod żadnym pozorem. Myślałam tylko o tym, w jaki sposób się z niej wydostać. W mojej decyzji utwierdzał mnie znakomity aktor, Józef Węgrzyn, który w prywatnych rozmowach często mi mówił: *Niech pani stąd ucieka, to nie jest miejsce dla pani, niech pani koniecznie wyjedzie za granicę*. Mówiąc to, nie zdawał sobie zapewne sprawy, czym jest życie na emigracji, zwłaszcza dla aktora, ale opinia tego wspaniałego człowieka była dla mnie bardzo ważna. Ja zresztą też nie wiedziałam. Sądziłam naiwnie, że wyjadę na jakiś czas, pobędę tam i po kilku latach wrócę w glorii. Może bym nie podjęła ostatecznej decyzji, ale o wszystkim zadecydowała mama, która oświadczyła, że nie pozostanie w Polsce. Sprzedała mieszkanie w Poznaniu i przyjechała do mnie, do Gdyni, gdzie akurat znowu byłam na wakacjach.

E.Z.: I wytrwała w swym postanowieniu?

IHJ.: Oczywiście, uciekła przede mną. Wypłynęła z rybakami, bez wiedzy Stefana, i pozostała w Szwecji.

E.Z.: A ty?

IHJ.: Jak już wspomniałam, w tym czasie nie miałam kontaktów

ze Stefanem. Jego zresztą nawet chyba nie było wtedy w Gdyni. Musiałam więc szukać innych możliwości. Z listu mamy, która przebywała w tym czasie już w obozie dla uchodźców w Szwecji, dowiedziałam się o pewnym młodym mechaniku kutra pościgowego „Kania", z którym można załatwić ucieczkę. Jak teraz o tym myślę, to mam podziw dla tej młodej dziewczyny, którą byłam w tamtych latach. Przecież to wszystko było szalenie niebezpieczne. Każdy kontakt mógł się okazać przecież prowokacją, a skutki pomyłki byłyby dla mnie tragiczne.

E.Z.: To, co robiłaś świadczyło o twojej ogromnej determinacji.

IHJ.: Byłam wtedy młoda, a jak wiadomo, młodość bywa niekiedy szalona.

E.Z.: W swych znakomitych *Mini-wykładach o maxi-sprawach* Leszek Kołakowski pisze:

> Ludzie młodzi są (…) wiedzeni przez jakby instynktowną, jakby bezwiedną zdolność do zanurzania się bez namysłu w różne przedsięwzięcia ryzykowne, wchodzą w koleiny nie wypróbowane albo bez widocznych ujść, nie przejmują się niejasnościami swoich zaangażowań.

IHJ.: Taka, w przeciwieństwie do bardziej rozważnej i ostrożnej

dojrzałości jest młodość, ale w moim przypadku decydował nie instynkt, lecz głęboko przemyślany wybór. Dlatego gotowa byłam podjąć największe ryzyko. Przebieg i okoliczności mojej ucieczki miały charakter prawdziwego horroru. Po nawiązaniu kontaktu ze wspomnianym mechanikiem, doszliśmy do wniosku, że nie możemy w nasze plany wtajemniczyć kapitana, który ani przez chwilę nie myślał o ucieczce. Po pierwsze miał w Gdyni dziewczynę i, co było najważniejsze, nie ukrywał swych sympatii dla komunizmu. W międzyczasie poznałam dwóch młodych chłopców, żołnierzy AK, Ryszarda i Józefa, którzy również nie potrafili odnaleźć dla siebie miejsca w PRL. W pewnym momencie kontakt z mechanikiem nawiązali również ludzie premiera Mikołajczyka, którzy nawet spotkali się z nami, ale po rozważeniu wszystkich za i przeciw doszli do wniosku, że nasz plan jest bardzo niebezpieczny i zdecydowali, że wybiorą inną drogę.

E.Z.: Stanisław Mikołajczyk rozważał taką możliwość?

IHJ.: Nie sam premier, a ludzie z jego otoczenia. Oni wiedzieli, że ta komunistyczna mistyfikacja nie potrwa długo i że wszyscy współpracownicy przywódcy opozycyjnego PSL wylądują w więzieniu. W każdym razie oni zrezygnowali, ja i moi nowo poznani przyjaciele – nie! W dniu, w którym postanowiliśmy wcielić nasz plan w czyn, mechanik zorganizował towarzyskie spotkanie na ścigaczu, suto zakrapiane alkoholem. Chodziło o to,

by kapitana, który był silnym, dwumetrowym mężczyzną upić do nieprzytomności, co nam się dzięki proszkom nasennym udało. Wówczas Ryszard i Józef, dla bezpieczeństwa, związali go i wzięliśmy kurs na Szwecję. Nikt z nas nie wiedział, jakie mogą być skutki zmieszania środków nasennych z alkoholem i nieświadomy niczego kapitan przepłacił nasz plan ciężką chorobą, ale nie mieliśmy innego wyjścia.

E.Z.: Nie ścigano was?

IHJ.: Oczywiście. Jak dowiedziałam się później, nasza ucieczka wywołała prawdziwe trzęsienie ziemi. Poruszenie na najwyższych szczeblach było ogromne, a cała Gdynia rozmawiała tylko o tym. Gdyby całą operację przygotował amator, nakryliby nas natychmiast, ale mechanik był świetnym, doświadczonym fachowcem. Wybrał nie tylko sprzyjającą pogodę, bo tego dnia była burza i sztorm, ale zaaranżował wszystko tak, że wypłynięcie ścigacza nie wzbudziło niczyich podejrzeń, a gdy zorientowano się, że coś jest nie tak i wszczęto pościg, było już na szczęście za późno. Posłano nawet za nami samolot, ale to już nie mogło niczego zmienić, choć do końca nie byliśmy pewni, że nasza ucieczka się powiedzie. Gdy byliśmy blisko celu, rozwiązaliśmy kapitana, który zdając sobie sprawę z tego, co się stało, postanowił, że nie wróci do Polski. Prosił nas tylko, byśmy nie mówili nikomu o jego niesławnej roli na pokładzie. Po dopłynięciu do Szwecji trafiliśmy do obozu dla uchodźców, a

stamtąd, po pewnym czasie, wypłynęliśmy do Kanady.

E.Z.: Gdzieś nam zginął w tej opowieści Stefan.

IHJ.: (śmiejąc się). Jego po prostu wówczas w moim życiu nie było. Stefan odnalazł mnie dopiero po upływie ponad roku w Kanadzie, do której uciekł mając dość ponurej rzeczywistości w powojennej Polsce. Jego niezależność, przedsiębiorczość i zmysł do biznesu nie mógł znaleźć w niej ujścia. Że wyjeżdżając dokonał właściwego wyboru, potwierdziły jego kanadyjskie sukcesy, które pozwoliły mu osiągnąć ponadprzeciętne standardy ekonomiczne.

E.Z.: Co pozwoliło ci na powrót do działalności aktorskiej.

IHJ.: Rzeczywiście, bez możliwości, jakie zapewnił mi Stefan moja aktywna praca społeczna i uprawianie aktorstwa, które w warunkach emigracyjnych, przynajmniej w tamtych latach, było działalnością *par excellence* charytatywną, byłyby raczej niemożliwe.



„Wielki Szlem” W.D. Home’a. Stoją Danuta Samolewicz i Witold Schejbal.
Siedzą od lewej: Irena Habrowska-Jellaczyc, Jerzy Jarosz, Elzbieta Tuszyńska-Martynic.

E.Z.: Porozmawiajmy teraz o twej pracy aktorskiej w Kanadzie, bo, niestety, coraz mniej jest wśród nas świadków tamtych wydarzeń. A zatem kiedy i jak powstał Teatr Polski?

I.H.J.: Twoje pytanie uświadomiło mi, że mój kontakt z emigracyjną sceną zaczął się… ponad 60 lat temu. W tamtym okresie wydarzeniem była *Szopka polityczna* z tekstami Wacława Iwaniuka i Michała Feuera oraz wspaniałymi kukiełkami znanego artysty plastyka, Eugeniusza Chruścickiego. Była to jedna z imprez działającej wówczas w Toronto Konfraterni Artystycznej „Smocza Jama", w której rej wodzili sami panowie[3]. Z długiej listy jej członków wymieniłam już Iwaniuka, Feuera i Chruścickiego, a muszę wspomnieć także Adama Tomaszewskiego, Michała Olbryskiego, Zdzisława Staronia, Stanisława Zybałę, Zygmunta Kindlera, Aleksandra Grobickiego, Andrzeja Szawłowskiego, Jerzego Korwin-Łopuszańskiego i innych. W ramach „Smoczej Jamy" wystawiliśmy adaptację *Dziadów* Mickiewicza i *Rozdroże miłości* Jerzego Zawiejskiego. Zanim dojrzała idea prawdziwego teatru najpierw organizowaliśmy wieczory, w trakcie których czytaliśmy teksty sztuk, co zebrana publiczność przyjmowała w najwyższym skupieniu. I myślę, że to właśnie, obok entuzjazmu i wiary w sens prawdziwej sceny, sprawiło, że gdy w 1972 roku rząd prowincji Ontario zainicjował w ramach programu wielokulturowości Festiwal Teatralny grup etnicznych, postanowiłam z Michałem Olbryskim, że powstanie Teatr Polski w Kanadzie.



Irena Habrowska z Hanną Poznańską w „Wysokiej ścianie” Jerzego Zawieyskiego.



Irena Habrowska-Jellaczyc w roli Urszuli w „Wysokiej ścianie” Jerzego Zawieyskiego.

E.Z.: Wierzyłaś w powodzenie przedsięwzięcia,? Nie towarzyszyły ci obawy i wątpliwości, że może to być zadanie przekraczające wasze możliwości?

IHJ.: Wierzyłam, ale wątpliwości i obawy były ogromne. W naszym gronie brakowało kogoś z odpowiednim przygotowaniem zawodowym, kto miałby odwagę podjąć się wyreżyserowania i wystawienia sztuki. W końcu przyjęłam ten obowiązek na siebie, nie zdając sobie do końca sprawy, co to znaczy w warunkach

emigracyjnych. Wybrałam *Wysoką ścianę* Jerzego Zawiejskiego, bo była to sztuka niskoobsadowa i stwarzała ambitne zadanie zarówno dla reżysera, jak i aktorów.

E.Z.: Powiedziałaś aktorów.

IHJ.: Tak się złożyło, że brakowało nam wszystkiego: lokalu, wolontariuszy, inspicjenta z prawdziwego zdarzenia, pieniędzy na stroje, które musieliśmy „organizować" własnym sposobem, ludzi od reklamy, ale aktorzy byli. W *Wysokiej ścianie* wystąpili: Hanna Poznańska w roli Tekli, uczennica Zelwerowicza, znana z wielu scen teatralnych w Polsce, Janina Jasińska w roli Łucji, pieśniarka i aktorka w teatrze II Korpusu, współpracująca po wojnie z Marianem Hemarem, Michał Olbryski w roli Ludwika, absolwent Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, który zdążył zagrać przed wojną w filmach *Młody las* i *Pan Twardowski*, Danuta Samolewicz w roli Sabiny, znana w polonijnym środowisku aktorka-amator, która wcześniej zagrała z powodzeniem w *Rozdrożu miłości* Zawiejskiego, i ja w roli Urszuli. Prace nad przygotowaniem sztuki trwały z przerwami trzy miesiące. Był to ogromny wysiłek dla nas wszystkich. Hanna Poznańska dojeżdżała do nas z Montrealu a Jasia Jasińska z Rochester. Pracowaliśmy intensywnie przez dwa tygodnie, po czym panie Poznańska i Jasińska wyjeżdżały, a nasza torontońska trójka spotykała się co pewien czas, aż do następnej próby.

E.Z.: Byliście jedynym polskim zespołem, który wystąpił na pierwszym Festiwalu Teatralnym?

IHJ.: Zaprosiłam do udziału w Festiwalu również amatorski teatrzyk studencki „Arabeska”, który wystąpił z *Czarowną nocą* Sławomira Mrożka, w reżyserii Jerzego Komorowskiego.

E.Z.: W londyńskich „Wiadomościach” ze stycznia 1973 roku Wacław Iwaniuk zamieścił entuzjastyczną recenzję waszego występu. Pisał w niej m.in.:

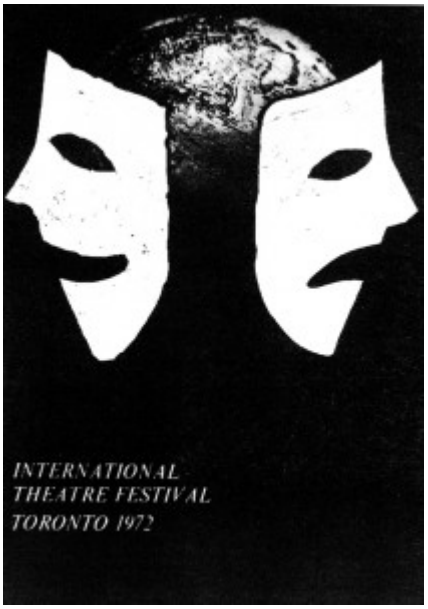
> Twórczyni teatru, Irenie Habrowskiej-Jellaczyc i aktorom należy się pełne uznanie. Udział ich w festiwalu był wybitnym wydarzeniem, o którym stale się jeszcze mówi.

Czy reakcja publiczności była podobna?

IHJ.: Występ „Arabeski” przyjęto bardzo ciepło i serdecznie, a spektakl Teatru Polskiego był absolutnym sukcesem. Wypełniona po brzegi sala Teatru St. Lawrence żegnała nas długimi, owacyjnymi brawami, wywołując wielokrotnie zespół na scenę.

Serdecznym gratulacjom w kuluarach towarzyszyły życzenia wielkiej tury po Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Ostatecznie skończyło się na jednym występie w Montrealu. To było

wszystko, na co mogliśmy się zdobyć w sensie organizacyjnym i finansowym.



Afisz: Wielokulturowy Festiwal Teatralny St. Lawrence Centre, Toronto 1972 r.



Afisz piątego Wielokulturowego Festiwalu Teatralnego, Toronto 1976,



Tytulowa strona programu Wysokiej sciany. Na zdjęciu Irena Habrowska-Jellaczyc i Hanna Poznanska.

E.Z.: Był to pierwszy, ale nie ostatni występ Teatru Polskiego w ramach torontońskiego Festiwalu.

IHJ.: W następnym roku podjęłam ryzyko wystawienia widowiska scenicznego *A to Polska właśnie* opartego na fragmentach dramatów i poezji Słowackiego, Mickiewicza, Bogusławskiego i Wyspiańskiego. Tym razem na scenie występowało nie pięć osób a blisko dwadzieścia, nie licząc członków chóru i dwóch zespołów tanecznych, z czego większość stanowili amatorzy. Oznaczało to gigantyczne problemy w sferze koordynacji sceny. W profesjonalnym teatrze była to funkcja inspicjenta. Ten, którym dysponowaliśmy „ginął" w najbardziej newralgicznych momentach, a ponieważ obsługę techniczną stanowili Kanadyjczycy niemówiący po polsku, w każdej chwili mogło dojść do tragedii. To, że nie mieliśmy żadnej poważniejszej

wpadki, a nasz występ i tym razem przyjęty został entuzjastycznie odebrałam, jako szczęśliwy gest przyjaznej nam opatrzności.

E.Z.: Warunki, w jakich realizowaliście poszczególne spektakle, decydowały zapewne o repertuarze prowadzonego przez ciebie teatru.

IHJ.: Po doświadczeniach z widowiskiem *A to Polska właśnie* zrezygnowałam z wielkich, wymagających sprawnej maszynerii organizacyjnej inscenizacji. Do programu trzeciego Festiwalu zaproponowałam komedię Williama Douglasa Home'a *Wielki Szlem*, graną z powodzeniem przez zespół teatru ZASP-u w Londynie. I właśnie z Londynu zaprosiłam dwóch moich kolegów: Jerzego Jarosza i Witolda Schejbala, u boku których zagrały trzy panie z Toronto: Danuta Samolewicz, Elżbieta Tuszyńska-Martynic i ja. Zadanie tym razem było nieco ułatwione, bo koledzy mieli role opanowane, a nasz spektakl miał być w znacznej mierze powtórką londyńskiej inscenizacji. W praktyce okazało się, że był realizacją całkowicie odmienną, choć w pełni udaną. Publiczność bawiła się znakomicie, znowu były gratulacje i ciepłe recenzje, i znowu, jak poprzednio, skończyło się na jednym przedstawieniu.



Irena Habrowska-Jellaczyc w roli Alicji W sztuce „Taniec śmierci” A. Strindberga.



Witold Schejbal jako kapitan w „Tańcu śmierci” Strindberga.

E.Z.: Ostatnim występem Teatru Polskiego był *Taniec Śmierci* Augusta Strindberga, także z udziałem Jerzego Jarosza i Witolda Schejbala i w praktycznej reżyserii Jana Świderskiego, choć na afiszu brak jego nazwiska.

IHJ.: Tak się złożyło, że w 1976 roku, podczas przygotowań sztuki Strindberga, Janek gościł u mnie i rzeczywiście „wyreżyserował” nam ten spektakl. Niestety ze względów czysto politycznych musieliśmy to zachować w najgłębszej tajemnicy, ale jego pomoc była ogromna. Znał zresztą tę sztukę bardzo

dobrze, bo wystawiał ją w Warszawie i grał w niej główną rolę. Jego koncepcje, wnikliwe uwagi, prowadzenie poszczególnych aktorów, którzy odbywali próby pod jego okiem w moim domu, były wprost nieocenione. Najwięcej zawdzięczał Świdrowi Witold Schejbal, którego rola kapitana podbiła publiczność. Sekret krył się między innymi w tym, że była to rola…Janka, którą czarował warszawską publiczność. Powiedziałeś, że *Taniec śmierci* był ostatnim występem Teatru Polskiego. Rzeczywiście, ale na terenie Toronto, bo 22 maja 1977 roku wystąpiłam w londyńskiej premierze tej sztuki, i to tym spektaklem torontoński Teatr Polski zakończył swoją działalność. W późniejszych latach były jeszcze moje liczne występy indywidualne w różnych rewiach, wieczorach literackich, zrealizowałam także sztukę *Przed sklepem jubilera* Karola Wojtyły i monodram pt. *Słowo o Pasji Chrystusa* w opracowaniu ks. M. Malińskiego, uczestniczyłam w programach poezji religijnej nie tylko w Kanadzie, ale także w Rzymie, w sali Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych, gdzie w 1980 roku przedstawiłam fragmenty *Przed sklepem jubilera* i poezje Andrzeja Jawienia, oraz w Paryżu, gdzie w 1982 roku wystąpiłam w Cenrtre Du Dialogue z wieczorem poezji religijnej. Nie był to już jednak teatr *par excellence*, jaki marzył mi się w latach siedemdziesiątych, gdy uczestniczyliśmy w torontońskim Festiwalu.

E.Z.: Słyszę w twoim głosie nutę żalu.

IHJ.: Może raczej zadumy nad minionym czasem, który przyniósł mi wiele radości i satysfakcji, ale także impulsów do refleksji nad specyfiką polskiego życia kulturalnego na obczyźnie. Radość ta wiąże się z piękną, bezinteresowną postawą życzliwych, wspierających Teatr Pollski ludzi m.in. Ireny Feuer, Wandy Zalutyńskiej, Mary Schneider, Hanny Chylińskiej, Jolanty Pfeifer, Wacława Iwaniuka, Adama Tomaszewskiego, Marcina Czaykowskiego, Jana Białkowskiego, Konstantego Kopowskiego i wielu innych. Refleksja natomiast podpowiada pytania dotyczące stopnia wykorzystania szans i możliwości stworzenia polskiej profesjonalnej sceny w Toronto. Mimo naszego udanego udziału w torontońskich Festiwalach Teatralnych nie powstała ona w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, i – mimo działalności Salonu Teatru Muzyki i Poezji im. Jerzego Pilitowskiego prowadzonego przez Marię Nowotarską – nie zanosi się na jej powstanie dzisiaj, co napełnia mnie szczerym smutkiem.

E.Z.: W swym szkicu „Torontońska Melpomena", zamieszczonym we wspomnianej książce *Ze sceny i estrady* napisałaś, przywołując Goethego:

> Teatr (…) może się obyć bez budynku teatralnego, zaplecza technicznego, całej złożonej organizacji, a nawet sceny. A mimo to może być teatrem najwyższej miary. Ale nie może się obyć bez aktora, dramatopisarza… bez publiczności.

IHJ.: To prawda. Nawet w warunkach anormalnych, a takie istnieją na emigracji, ambitny teatr jest możliwy. Nie eliminuje to

jednak postawionego wcześniej pytania. Jesteśmy w wielkim Toronto tak liczną zbiorowością, że brak pewnych polskich instytucji kulturalnych, wśród nich teatru, musi zastanawiać i niepokoić.

(2007, 2014)

Wersja skrócona wywiadu ukazała się w „Glosie Polskim" nr 37 z 2007 roku. Pełny wywiad opublikował „Akcent" w wydaniu internetowym (Akcent w przestrzeni). W takim tez kształcie ukazał się w książce „Aktor nie opuszcza sceny" (2014).

Irena Habrowska-Jellaczyc – absolwentka Studia Dramatycznego Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej w Poznaniu i Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi. Uczennica Aleksandra Zelwerowicza i Leona Schillera. Aktorka prestiżowego w latach powojennych Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Występowała także na scenach Teatru Nowego i Teatru Polskiego w Poznaniu. Debiutowała rolą Mańki w *Panu Damazym* Józefa Blizińskiego, w reżyserii A. Zelwerowicza. Grała także w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego, *Wielkanocy* Stefana Otwinowskiego, *Dwunastu miesiącach* Marszaka i komedii Gozdawy i Stępnia *Dziewczyna i kokosy.* Do chwili opuszczenia

Polski w 1949 roku brała udział w wielu audycjach Polskiego Radia i występach estradowych. W Kanadzie uczestniczy w najważniejszych przedsięwzięciach artystyczno-literackich m.in. w programach „Smoczej Jamy", Klubu Polskiego, Komitetu Mickiewiczowskiego. W 1972 roku organizuje Teatr Polski w Kanadzie, który odnosi sukcesy w zainicjowanym przez rząd prowincji Ontario Festiwalu Teatralnym Grup Etnicznych. W jego ramach w latach 1972-1977 realizuje *Wysoką ścianę* Jerzego Zawiejskiego, widowisko *A to Polska właśnie*, komedię Williama D. Home'a *Wielki Szlem* i *Taniec śmierci* Augusta Strindberga. Z tą ostatnią sztuką wystąpi w Londynie, odnosząc wielki sukces na scenie Teatru ZASP-u. W ramach „Tygodnia Kultury Polskiej" zorganizowanego przez Polski Fundusz Wydawniczy w 1978 roku wystawia sztukę Jana Pawła II *Przed sklepem jubilera*. W latach 80. występuje w Rzymie i w Paryżu ze sztuką *Przed sklepem jubilera* i poezją Romana Brandstaettera. Współzałożycielka Polskiego Funduszu Wydawniczego. Autorka tomu szkiców i artykułów wspomnieniowych *Aktor nie opuszcza sceny* (2014). Wspólnie z Adamem Tomaszewskim wydała książkę o życiu teatralnym w Toronto *Ze sceny i estrady* (1987). Artykuły o tematyce kulturalnej publikowała na łamach londyńskich „Wiadomości" oraz polskiej prasy w Kanadzie.

Przypisy:

[1] Irena Habrowska-Jellaczyc, Adam Tomaszewski: *Ze sceny i*

estrady, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto1987.

[2] Eugeniusz Cękalski

[3] Gdy w latach 50. rozpoczynała w Toronto działalność „Smocza Jama", z inicjatywą powołania polskiego teatru wystąpili także animatorzy polskiego życia kulturalnego w Ottawie. Jesienią 1952 roku w domu Elżbiety i Józefa Rudnickich zaprezentowana została szopka autorstwa Zygmunta Mordasewicza. Inicjatorem kabaretu był Ryszard Herget, który w następnych latach, wraz z grupą entuzjastów, doprowadził do powstania (w 1954 r.) Teatru Polskiego w Ottawie. Do 1976 roku, to jest do chwili zakończenia swej ponad 25-letniej działalności (z przerwami) teatr ten dał ponad 20 premier, wystawiając m.in. *Damy i Huzary* oraz *Śluby panieńskie* Aleksandra Fredry, *Grube ryby* Michała Bałuckiego, *Milczenie* Romana Brandsteattera, *Dwa teatry*, *Kowal, pieniądze i gwiazdy* oraz *Most* Jerzego Szaniawskiego, *R.H. Inżynier* Brunona Winawera. Teatr Polski w Ottawie prezentował swe spektakle nie tylko w stolicy Kanady, ale także w Chicago, Hamiltonie, Montrealu, Sudbury, Toronto i Rochester N.Y. Kierownictwo Komitetu Teatralnego piastowali: Ryszard Herget, Tomir Drymmer, Zbigniew Rylski, Józef Rudnicki, Zofia Olechowska, Iza Rayzacher, Maria Grzebieniowa i Kazimierz Orlik-Rückemann. Sztuki reżyserowali: Ryszard Herget, Tomir Drymmer, Wiktor Podoski, Tadeusz Jost, Zbigniew Rylski, Jadwiga Domańska,

Maria Grzebieniowa. Informacje powyższe przytaczam za: Elżbieta Mordasewicz, Tadeusz Jost „Teatr Polski w Ottawie" [w:] *Domino Deo Nostro. Księga pamiątkowa 25-lecia kościoła św. Jacka Odrowąża w Ottawie*, Ottawa, 1982. Wspomnijmy w tym miejscu, że istotne ożywienie polskiego życia teatralnego w Kanadzie przyniosła emigracja lat 80. Wówczas to w Calgary ukształtowała się grupa teatralna pod kierownictwem Miry Starczyk, po latach przekształcona w Akademię Entuzjastów Projektów Ambitnych. W jej bogatym dorobku uwagę zwracają takie inscenizacje jak *Przed sklepem jubilera* Karola Wojtyły, *Damy i Huzary* Aleksandra Fredry, *Rozmowy przy wycinaniu lasu* Stanisława Tyma, *Dolina szczęścia* (wg. sztuki *Arszenik i stare koronki* Josepha Kesselringa, *Wachlarz Lady Windermere* Oskara Wilde'a czy *Sąd nad współczesnym Polakiem* Katarzyny Janowskiej i Piotra Mucharskiego. W Toronto w połowie lat 80. powstał Teatr Polonia – Scena Format, a następnie Salon Muzyki i Poezji Polsko-Kanadyjskiego Towarzystwa Muzycznego, z którego wyłonił się Salon Teatru, Muzyki i Poezji im. Jerzego Pilitowskiego. Jego imponujący dorobek obejmuje kilkadziesiąt premier, m.in. wiele sztuk Kazimierza Brauna (*Tamara L.*, *Helena – rzecz o Modrzejewskiej*, *American Dreams*, *Promieniowanie*, *Opowieści Poli Negri*), programów rewiowych oraz spektakli poetyckich. Na uwagę zasługuje również działający w Toronto od lat 90. Kabaret „Pod Bańką", który niedawno obchodził swoje dwudziestolecie. W Vancouver na przełomie 2002/2003 roku Jerzy Kopczewski-Bułeczka założył

Teatr Popularny, który, pod zmienioną (w 2012 r.) nazwą Teatr Polski Vancouver, działa do dzisiaj. Na jego dorobek składa się ponad dwadzieścia premier, m.in. *Mazepa* Juliusza Słowackiego, *Dożywocie* Aleksandra Fredry, *Chłopcy* Stanisława Grochowiaka, *Czarowna noc*, *Na pełnym morzu* i *Drugie danie* (wystawione pod tytułem *Widmo*) Sławomira Mrożka, *Madam Irena* (wg. powieści *Biedni ludzie* Fiodora Dostojewskiego, *Pół błazna pół panicza* (wg. prozy Witolda Gombrowicza), *Wariacki numer* (wg. powieści E. Kazana *Dubler*). Każda z tych inicjatyw, a przecież z pewnością nie wymieniłem wszystkich, zasługuje na obszerny zapis monograficzny, którego przygotowanie należy do kronikarzy i badaczy życia kulturalnego polskiej diaspory w Kanadzie.

W poszukiwaniu Zegadłowicza



Dworek – Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.

Florian Śmieja

Bodaj jeszcze w Szkocji zaraz po zakończeniu wojny zacząłem zbierać wiadomości tyczące współczesnych literatów ze Śląska i przyległych ziem. Wśród nazwisk pojawiło się nazwisko Emila Zegadłowicza, którego "Powsinogi Beskidzkie" brzmiały tajemniczo i obiecywały niespodzianki. Lecz nie były to czasy ani miejsce sprzyjające takim poszukiwaniom. Satysfakcjonujące odpowiedzi miałem otrzymać dopiero późną wiosną 2007 roku.

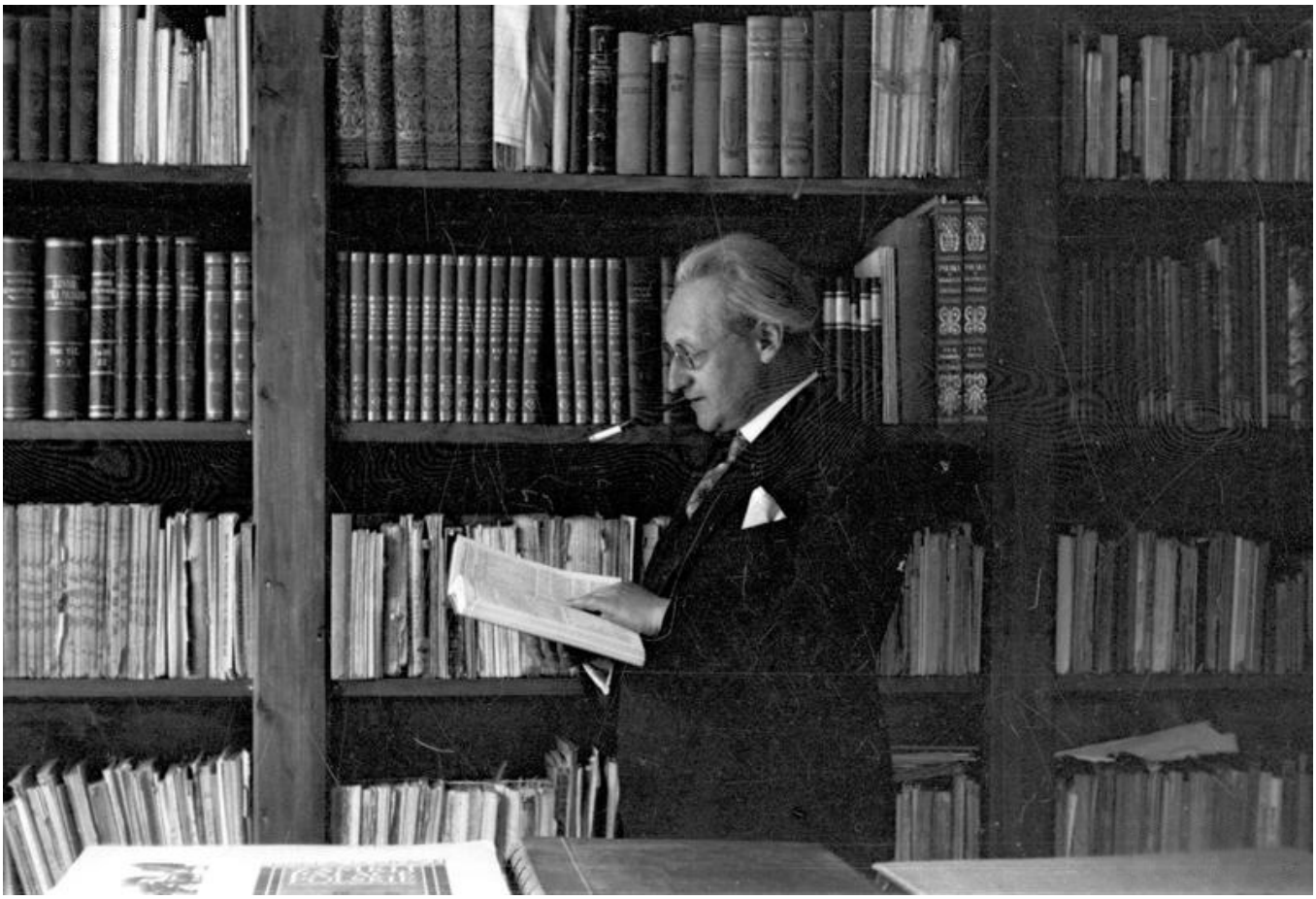
W słoneczną czerwcową niedzielę wybrałem się z profesorem Włodzimierzem Wójcikiem w Polskę. Rozmawialiśmy o tym

wcześniej, nieobowiązująco, ale miało to się stać rzeczywistością tym razem. Jadąc nieśpiesznie samochodem przez piękny krajobraz dorodnych łanów minęliśmy Oświęcim i osiągnęli Wadowice. Pokłoniwszy się bazylice, skierowali następnie na drogę wiodącą do Suchej Beskidzkiej, by po kilku kilometrach zrobić skręt w prawo do Gorzenia Górnego.

To tam, w pięknym stylowym pałacyku z wejściem ozdobionym podwójnymi kolumnami funkcjonuje borykając się z różnymi perypetiami muzeum literackie Emila Zegadłowicza (1888-1941).



Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.



Emil Zegadłowicz (1888 – 1941) – poeta w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, woj. krakowskie; zdjęcie ze zbioru: Jubileusz 25 lecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza.

Urodzony w niedalekiej Białej pisarz, ukończył gimnazjum w Wadowicach, a w Krakowie studiował polonistykę, germanistykę i historię sztuki. Późniejsza praca zawodowa, aczkolwiek podjęta w Poznaniu i Warszawie, nie przeszkodziła powstaniu właśnie w rodzinnym domu jego bogatej twórczości literackiej. Tam też zawiązała się grupa artystyczna Czartak, powstała z fascynacji przyrodą, w szczególności zaś bliskim Beskidem.

Muzeum w Gorzeniu powstało z inicjatywy żony pisarza, Marii, w 1946 roku i prezentuje w utrzymanych w stylu epoki wnętrzach

sztukę XX lecia międzywojennego. Z trzech początkowych sal urosło do dziewięciu. W tym sanktuarium sztuk przyjaciele i sympatycy muzeum, a do nich należał profesor Wójcik, mogą liczyć na szczególnie ciepłe powitanie. Na nasze spotkanie wyszła sędziwa już córka, Atessa oraz wnuczka Ewa. Przy zaimprowizowanej na powietrzu kawie rozmawiano o wielkim wkładzie Adama, jej przedwcześnie zmarłym bracie kustoszu opiekującym się szczególnie pieczołowicie cenną puścizną po wielkim dziadku, twórcy i kolekcjonerze.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Herbaciarnia.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Jadalnia.



Muzeum Emila Zegadłowicza. Gabinet,



Muzeum Emila Zegadłowicza. Biurko.

Z czasem prywatna instytucja przekształciła się w Fundację. Dzięki pomocy przyjaciół i zainteresowanych ośrodków utrzymało się to świadectwo minionej epoki, w której to aurze powstały słynne poezje “Powsinogi Beskidzkie” i “Kolędziołki”, a w prozie trylogia “Żywot Mikołaja Srebrempisanego” oraz dramaty takie jak “Lampka oliwna” czy “Domek z kart”.

Zegadłowicz zmarl po ciężkiej chorobie w 1941 roku w Sosnowcu i na jednej z jego cmentarzy został pochowany, ale jego twórczość i kolekcje dzieł sztuki zapraszają do Gorzenia nie tylko na prawdziwą lekcję niedawnej historii, ale także do poznania autentycznej atmosfery i ludzi związanych z tym wyjątkowym miejscem dla kultury i nauki polskiej.



Prof. Włodzimierz Wójcik (z lewej) i prof. Florian Śmieja w Muzeum Emila Zegadłowicza.

Lektion der Stille



Jan Darowski

Do smutniejszych odkryć mojego żywota zaliczam odkrycie “Quo vadis?” w języku angielskim. Było to jeszcze w czasach sprzed książki z filmu, już nie pamiętam nazwiska tłumacza. Pamiętam natomiast, że w przekładzie tym pobite zostały aż dwa rekordy: rekord nieznajomości języka polskiego i rekord nieudolności w języku angielskim. Jeśli do tego dodamy kilka drobnych szczegółów, takich jak to, że tłumaczenie powyższe ukazało się nakładem jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych w Anglii, specjalizującej się w klasykach wszystkich krajów i to, że na obwolucie książki jak byk wypisane było, iż mamy do czynienia z „ni mniej ni więcej”, tylko arcydziełem literatury polskiej, to już chyba mamy gotowy obraz literatury w umyśle

angielskiego czytelnika. Od tego czasu ta przygoda powtórzyła mi się kilkakrotnie. Lecz jak mówią starożytni, ten kto dobrze leży, najlepszym będzie stoikiem.

Nie jest tajemnicą, że książki polskie tłumaczy się na język angielski nie z oryginału, a z jakiegoś innego tłumaczenia, zazwyczaj francuskiego. Nie było by w tym szczególnego powodu do zmartwienia, gdyby nie to, że na język francuski tłumaczą nas nie paryżanie, a Francuzi warszawscy. Trudno potem spodziewać się, że w języku angielskim wskrzeszony zostanie żywy głos autora polskiego, któremu poderżnięto gardło w języku francuskim.

Gdyby czytelnikowi angielskiemu zaofiarowano przekład na wyżej wspomnianym poziomie, na przykład z Prousta czy Manna, tłumacza wykończyliby natychmiast recenzenci. Ilu zaś recenzentów angielskich podniesie, gdy jest w stanie podnieść, głos w obronie autora polskiego? Ani jeden, gdyż ani jeden nie może sprawdzić rzeczy w oryginale. Dobre wychowanie i wrodzona ostrożność każą im rzecz raczej przemilczeć, bo „a nuż widelec". Tak książka wychodzi na rynek, lecz nie dociera do czytelnika, który jak wiadomo rzadko ma swoje gusta i albo czyta na chybił trafił, albo na rekomendacje fachowców. A za nią książka następna i następna, aż gdzieś księgowi wykażą, że to wszystko ginie w próżni i naraża firmę na straty. Zimne poty wychodzą mi na czoło, gdy pomyślę w jakim stopniu książka

polska w tym kraju zależna jest już nie tylko od talentu, ale wręcz ludzkiej uczciwości tłumacza. To też, gdy ci zatrąbią, Drogi Czytelniku, że taka a taka powieść polska, ukazała się w przekładach, na tyle a tyle języków, nie żenuj się a zapytaj, w przekładach czyich i z jakiego języka? A gdy dowiesz się, że w odległej Japonii książka polska jest bestsellerem, pomyśl tylko, czy nie dlatego, że zrobiono tam z niej szmirę.

Literaturze polskiej za granicą przeszkadza nie tylko jej spóźnienie dziejowe i jej prowincjonalizm (dobry prowincjonalizm też może mieć swój urok dla kosmopolity – vide, wyłączając Ibsena, literatura skandynawska pięćdziesiąt lat temu) lecz też, i to głównie nasz kompleks niższości, który każe nam stać w kącie z urażoną dumą i czekać, aby obcy do nas pierwsi podeszli. A obcy nie podejdą, bo oni też mają swoje kompleksy. I tak skazani jesteśmy na tłumaczenie siebie samych, co zazwyczaj zaczyna się i kończy upartym twierdzeniem, że literatura polska nie ustępuje żadnej.

Lecz dobra kulturalne, jak każde inne dobra tego świata trzeba sprzedawać umiejętnie bez fałszywego wstydu i z iście kupiecką dalekowzrocznością. To jest eksport. Panowie, to jak jajka, bekon, konfitury, i na to nie ma rady. Ale szlachetce, który mieszka w duszy polskiego inteligenta, wstydno parać się handlem. On w wiechciach stoi równy królom.

Mówi się zwykle, że nie mamy szczęścia w ogóle, a szczęścia do tłumaczy w szczególności. Powiedzmy sobie od razu: my po prostu nie mamy tłumaczy. Niech mi ktoś wymieni Francuza, albo Anglika, który jest czymś więcej jak szprotką we własnych wodach, a może tłumaczyć z języka polskiego. Tymczasem St. Perse'a wprowadził do języka angielskiego nikt inny jak Eliot. Zgodzimy się chyba, że ułatwiłoby to sprawę nowoczesnej poezji polskiej, gdyby tłumaczyć ją mogli Ted Hughes albo Philip Larkin.

W obecnej sytuacji literatura polska nie może liczyć na takie ułatwienia. Nam trzeba najpierw tłumacza sobie stworzyć, hodować pieczołowicie, a potem ozłacać. Jak się to robi? Parę lat temu przedstawiono mnie pewnemu Anglikowi, „scoutowi" jednej z firm wydawniczych, który, widocznie zmylony moim entuzjazmem do Gogola, wziął mnie za Rosjanina i zaproponował mi, abym tłumaczył coś z literatury rosyjskiej, „preferably post-Gorki". „W tym są niezłe grosze", zapewniał mnie gorąco. A na moje pytanie, czy z prawej kieszeni czy z lewej, powiedział krótko: "Może być z obu". Czegóż prócz z wysoce hipotetycznej wdzięczności narodu polskiego może spodziewać się tłumacz autorów polskich. A tu trzeba żyć, ślęczeć, dziatki żywić i wedle wzoru: Wer den Dichter will verstehen muss nach Dichter's Lande gehen, podróżować nieco. Przedtem jeszcze trzeba nauczyć się polskiego języka. Lecz gdzie? School of Slavonic Studies? Wolne żarty. Język polski jest tak trudny, nawet dla

nieprzeciętnego Anglika, że żadne ambicje akademickie nie wystarczą mu, jako zachęta do głębszego niż po łebkach poznania tej dziwnej plątaniny spółgłosek. Na to potrzebne są bodźce żywe w rodzaju cyganerii studenckiej, dziewczyny, perspektywy kariery. Niechaj tylko uczelnie polskie ufundują stypendia dla Anglosasów, stypendia nie z literatury polskiej albo historii sztuki, a z medycyny, inżynierii itd., a w przeciągu następnego ćwierćwiecza przestaniemy być białą plamą na mapie kulturalnej świata. Zaś przekłady z języka polskiego posypią się jak z rękawa. I to przekłady niewymuszone, nie kupione gdzieś w ciemnej bramie, a wynikające z wewnętrznego zapotrzebowania tłumaczy i być może, jako podświadoma spłata długów wdzięczności. W następnych dwu dekadach ilość kandydatów na miejsca uniwersyteckie w Anglii więcej niż dwukrotnie będzie przewyższała ilość miejsc. Czy ktoś w kraju pomyślał już o wykorzystaniu tej sytuacji? Wątpię. Prawdopodobnie patrzy się na to pod kątem bardziej doraźnie zrozumiałych interesów narodowych. Boć Antka trzeba też gdzieś podszkolić, aby zasilał szeregi Wielkich Niezrozumianych. Tymczasem w tejże Anglii, gdzie tysiące młodzieży nie ma szans dostania się na wyższe uczelnie, uczelnie te same rezerwują tysiące wolnych miejsc dla studentów zagranicznych. Oni to będą tłumaczyli literaturę angielską na swoje języki i narzecza, otwierając przy tym rynki zbytu i sfery wpływów. Powie ktoś, że Polska jest zbyt biedna na to, aby szkolić obcokrajowców kosztem młodzieży polskiej. Polska jest zbyt biedna na to, aby

ich nie szkolić.

Tymczasem my nadal wierzymy, że pomoże nam kategoryczny imperatyw ludzi, którzy nie wiedzą na pewno, jakiego kraju Polska jest stolicą i być może, że wiedzą iż wiele naszych wielkości nie wytrzyma zmierzenia się z obcymi, boimy się prawdziwego tłumacza. Jeśli tak jest, to szkoda, bo liryka polska ostatnich paru lat i sporo przedwojennej na prawdę jest na poziomie. Przewyższa to, co w tym czasie napisano w Anglii i wytrzymuje porównania z liryką amerykańską. Czytelnik i literat anglosaski, nic o tym nie wiedzą, a te fragmenty, które do nich dochodzą traktowane są prędzej jako curioza z uciemiężonego kraju, niż odsetki jakiegoś większego kapitału, a gdy dowiedzą się prawdy, to znowuż będzie za późno.

Wyjątek pod tym względem będą stanowiły Niemcy i dzięki Karlowi Dedeciusowi, którego „Lektion der Stille", antologia nowoczesnej liryki polskiej, jest wydarzeniem pierwszej klasy w historii przekładów z języka polskiego. O Dedeciusu wiem tylko, że urodził się w Polsce i że pracował nad nową antologią liryki polskiej, zakrojoną na większą skalę. Jedno jest pewne, w Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya albo Moncrieffa w prozie francuskiej. Nie wiem, jak mu tam nasza ojczyzna pomagała, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie jego talentu lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób. Mówię to,

bo my tu nad Tamizą też mamy swoją „Lekcję ciszy”, ale lekcja idzie osobno, cisza osobno.

Recenzja ukazała się w „Kontynentach” nr 43-44 pod redakcją Floriana Śmieji w Londynie w 1962 roku. Posłał ją Dedeciusowi. On w jednym z listów napisał:

> Panu Darowskiemu proszę przekazać specjalny ukłon ode mnie: artykuł jego o tłumaczeniach – nie tylko ze względu na naturalnie miłą dla mnie laudatio, ile ze względu na ogólną ilustrację problemu i związane z nim wnioski – uważam za bardzo dobrze napisany i, jeśli wolno mi się tak wyrazić, mądry.